NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 19 października 1912. Nr. 42.

Bałkan w ogniu wojennym.

(Treść na str. 2).



Nr. 42 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Bolesna strata. — Hokatyzm w Wiedniu. — I Zjazd głuchoniemych w Warszawie. — Wojownicze państewko. — Praca narodowa we Lwowie. — O poprawę bytu. — Wystawa rybacka. — Zaginiony artysta. — Wystawa drobiu w Warszawie.

Od Redakcyi.

Wkrótce rozpoczniemy w „Nowościach Illustrowanych“ druk **Pamiętników Maryi Mikołajówny Tarnowskiej** w ściśle wiern m opracowaniu **Annie Wivanti,** która oryginalny rękopis uwięzionej w Trani otrzymała z rąk słynnego lekarza włoskiego, prof. **Ludwika Bossi,** powołanego na eksperta w procesie weneckim. **Pamiętniki** te, ujęte w wykwintną formę literacką, rachującą się z surowemi wymaganiami etycznemi szerokiego koła Czytelników, mieszczą w sobie szczere wyznania, nacechowane sądownie stwierdzoną prawdomównością, sensacyą zaś swojej dramatycznej treści przewyższają **najsensacyjniejsze powieści,** stworzone przez bujną wyobraźnię nowoczesnych romansopisarzy. Czasopisma i dzienniki włoskie i francuskie, ogłaszające obecnie **Pamiętniki Maryi Mikołajówny Tarnowskiej,** nazwały je „oceanem morfiny, krwi i szampana“.

Bałkan w ogniu wojennym.

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna bałkańska powoli, ale coraz silniej rozpala łunę nad Europą. Z dnia na dzień sytuacja staje się coraz bardziej naprężoną i coraz szersze kręgi zatacza zatarg, który pierwotnie zdawał się być czysto dyplomatyczną aferą. Państwa bałkań-



Bolesna strata: Ś. p. Stan. hr. Badeni, b. marszałek Sejmu galicyjskiego.

skie Grecya, Serbia, Czarnogóra i Bułgarya zmobilizowały już swoje armie, posunęły je ku granicom Turcyi europejskiej i rząd turecki stanął wobec ewentualności walki na cztery fronty.

Pierwsza do walki ruszyła Czarnogóra. Wprawdzie wielkie mocarstwa do ostatniej chwili pragnęły wojnę zażegnać. Zwłaszcza najbardziej interesowane w tej sprawie dwa państwa, Rosya i Austrya, podjęły szeroką akcyę, aby doprowadzić do porozumienia. Rosyjski minister spraw zagranicznych Sazonow odbył nawet specyalną podróż po Europie i razem z Francyą, Anglią i Niemcami ułożył formułę na podstawie której Austrya i Rosya podjęły interwencyę zarówno u Porty, jak i u państw bałkańskich. Nim jednak akcya ta została zakończona, Czarnogóra wypowiedziała wojnę, a wojska jej wpadły do Turcyi. Za teren operacyjny wybrano okolice jeziora Skutari, leżącego nie daleko wię-



Bałkan w ogniu wojennym: Mapa terenu wojny.



Bałkan w ogniu wojennym: Dwudziestu pięciu dowódców armii serbskiej.

kszego miasta tej samej nazwy. Wojska czarnogórskie uderzyły gwałtownie na Turków i po zaciętej walce zdobyły wzgórze Decicz, obsadzone przez wojska tureckie. Równocześnie dru a armia czarnogórska uderzyła na Turków koło Berany, tu jednak napotkała na zacięty opór i musiała na razie zatrzymać swój marsz naprzód, w końcu jednak Beranę zdobyła. Trzecia armia wpadła do Sandżaku Nowobazarskiego i po krótkiej walce zajęła miasto Bielopolie, leżące 70 klm. za granicą.

Mimo wysiłków ze strony Turków pochód armii Czarnogórskiej na wszystkich punktach jest zwycięski.

Turcy postanowili nie czekać na to, aż Serbia i Bułgarya ukończą swą mobilizacyę i koło Niszu połączą swe armie. Nie chcąc do tego dopuścić, sami przeszli granicę serbską i zaatakowali wojska serbskie koło miejscowości Ristowacz leżącej na pograniczu południowej Serbii.

Tem samem wojna rozwija się już w całej pełni.

Turcya koncentruje swe wojska w trzech armiach. Jedna najmniejsza, zwrócona jest ku Czarnogórze i ma bronić połączenia się wojsk czarnogórskich z serbskimi. Druga armia stoi na pograniczu bułgarskiem. Podstawą jej operacyi będzie Adryanopol, jedna z najlepszych twierdz tureckich, gdzie prawdopodobnie rozegra się stanowcza bitwa, która rozstrzygnie o losach całej wojny. Trzecia armia zwrócona jest przeciw Grecyi. Naczelne dowództwo armii tureckiej objął Nazim-pasza, który dowodzi także armią środkową. Armię wschodnią prowadzi Abdullah basza, zaś zachodnią Ali Riza basza.

W Czarnogórze na czele armii stoi król Mikołaj, zaś poszczególne jej części prowadzą generałowie Vukoticz, Jurokicz i Martinowicz. W Serbii prowadzą trzy części armii generałowie Bojowicz, Stefanowicz i Iwanowicz, w Bułgaryi pod wodzą króla Ferdynanda przewodzą wojsku gen. Iwanow, Dmitriew i Kutinczew.

Ilustracya nasza tytułowa przedstawia zdobycie fortyfikacyi na wzgórzu Decicz przez Czarnogórców. Prócz tego podajemy mapę sytuacyjną terenu wojny, oraz szereg illustracyi z przygotowań wojennych.



Bałkan w ogniu wojennym: Serbski królewicz ks. Aleksander opuszcza Skopsztynę.



Bałkan w ogniu wojennym: Ambasadorowie Rosyi, Austro-Węgier i Niemiec przed gmachem Skupsztyny w Belgradzie.

Bolesna strata.

W ostatnich dniach straciła Galicya jednego z najdzielniejszych swoich polityków i wielkorządców w osobie byłego marszałka krajowego hr. Stanisława Badeniego. Zmarły w chwili śmierci liczył 63 lat.

Ukończywszy szkoły średnie i uniwersytet w Krakowie, doktoryzował się na wydziale prawa, a następnie ukończył także wydział filozoficzny. Z początku poświęcił się pracy w sądownictwie, następnie jednak osiadł na roli i oddał się prowadzeniu gospodarstwa rolnego.

Zaufanie obywateli powołało go niedługo do służby



I. Zjazd głuchoniemych w Warszawie: Komitet organizacyjny i uczestnicy zjazdu. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Bałkan w ogniu wojennym: Serbski oddział kartaczownic.



Bałkan w ogniu wojennym: Ochotnicy macedońscy w szeregach armii serbskiej.

publicznej, a kiedy raz na tę drogę wstąpił, rozbłysnął wnet wielkim talentem politycznym, dzięki któremu szedł po szczeblach karyery politycznej coraz wyżej, aż w r. 1895 został marszałkiem Sejmu galicyjskiego. Na tem stanowisku wytrwał z roczną tylko przerwą aż do r. 1912, kiedy zmożony chorobą, złożył tę zaszczytną godność.

Kto bacznie śledził rozwój polityki gospodarczej i ogólnej naszego kraju w ostatnich dziesiątkach lat, podziwiać musiał żelazną iście energię, wytrwałość i zdolności dyplomatyczne, z jakiemi hr. Badeni na trudnem i odpowiedzialnem swem stanowisku kierował nawą polityczną Galicyi.

Pod jego rządami przeszła autonomiczna Galicya największe swe przesilenia, zagospodarowała się ekonomicznie i podniosła.

Jako polityk miał trudne zadanie do spełnienia. Waśnie narodowe, jakby płomień coraz namiętniej kraj ogarniające, w nim jako sterniku nawy politycznej musiały znaleźć swój równoważnik, człowieka, który umiał godzić i łagodzić. Misyę tę przez szereg lat spełniał z takiem powodzeniem, że pozyskał sobie ogólne poważanie i szacunek wszystkich polityków bez różnicy przekonań politycznych.

Galicya traci w nim bardzo wiele i nie prędko znajdzie się mąż tak szerokich wpływów i wszechstronnych zdolności, który dzieło przez tyle lat z powodzeniem przez zmarłego prowadzone podejmie i dalej po tej samej poprowadzi drodze.



Bałkan w ogniu wojennym: Piechota serbska w linii bojowej.

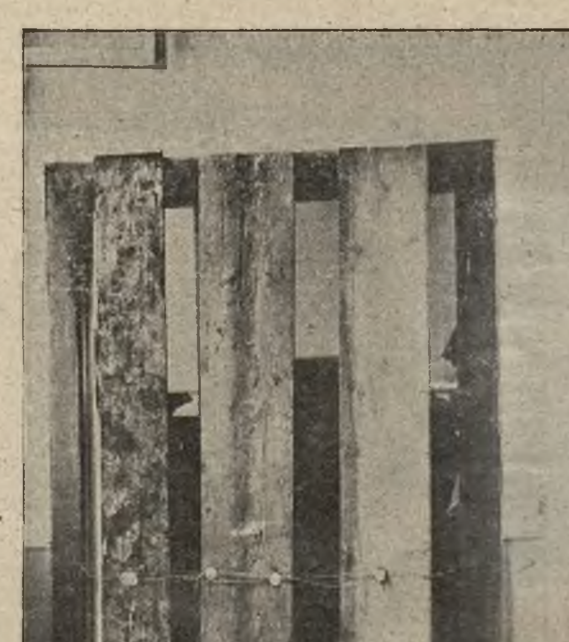
Hakatyzm w Wiedniu.

Szał nacyonalistyczny, który tak utrudnia współżycie narodów, i w Austryi również święci swe smutne tryumfy... Walczą ze sobą poszczególne narodowości nietylko tam, gdzie ścierają się ich najżywotniejsze interesy, ale nawet na terenie, gdzie do walki niema najmniejszego powodu. Przykładem tego rozbujałego nacyonalizmu jest Wiedeń, gdzie solą w oku nacyonalistów niemieckich jest liczna kolonia czeska i utrzymywane przez nią szkoły czeskie... Pomimo, iż Wiedeń jest stolicą państwa z większością ludności nieniemieckiej, szowiniści wiedeńscy wypowiedzieli wojnę szkołom czeskim, choć te nie zagrażają bynajmniej niemieckości Wiednia... Walka toczy się od dawna, a w ostatnich czasach, niestety, i zarząd stolicy monarchii stanął po stronie szowinistów niemieckich, szykanując i zamykając pod różnymi pozorami szkoły czeskie w Wiedniu. „Kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie“ — mówi przysłowie, więc i gospodarze Wiednia wynajdują rozmaite powody technicznej i hygienicznej natury, które służą im za pretekst do wyrzucenia na bruk setek dzieci czeskich. W ten sposób magistrat m. Wiednia zamknął znów w ostatnich czasach czeską szkołę im. Komeńskiego, pod pozorem, iż budynek jej nie odpowiada wymaganym warunkom.

Illustracya nasza przedstawia właśnie opieczętowaną bramę szkoły im. Komeńskiego.



Bałkan w ogniu wojennym: Rosyjski minister spraw zagranicznych Sazonow (po prawej stronie) naradza się w sprawie bałkańskiej z ministrem Poincarem w Paryżu.



Hakatyzm w Wiedniu: Zabita deskami i opieczętowana brama zamkniętej szkoły czeskiej imienia Komeńskiego.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

6

Raz kawaler urwał świeżo rozkwitłą lilię białą, o co się podobno gniewał pan starosta Gaworowski, i przyniósł mi ją, za co mu wdzięcznie podziękowałam i widziałam, że wszystkie damy z zazdrością spoglądały, co mnie bardzo cieszyło i śmieszyło zarazem. Lilię tę przez nieuwagę upuściłam na ziemię, a kawaler, który stale przy mnie się znajdował, szybko ją podniósł, ukląkł i ucałował, a potem podał mi, szepcząc: „szczęśliwa ta lilia, bo na twem łonie pani spoczywa“. Pamiętam, zaczerwieniłam się wtedy, mocno zawstydzona, a wszystkie damy obecne śmiać się poczęły, ale śmiech ten nie był szczery, bo czuć w nim było żądło zazdrości.

Innym razem zawstydziłam się jeszcze bardziej wieczorem, gdy okno otworzyłam, by słuchać śpiewu słowików, który namiętnie lubiłam, a których mnóstwo w krzewach się kryło. Noc była bardzo piękna, cicha i wonięjąca, a wielki, srebrny księżyc świecił na ciemnym błękicie nieba i cudowne tworzył blaski i cienie w ogrodzie. Siedziałam w oknie zasłuchana w tryle słowicze, zapatrzona w blaski miesiąca, zatopiona w senną ciszę nocy majowej, zamyślona nie o mężu niestety! (bo nic tu w tej spowiedzi mojej ukryć nie chcę), ale o pięknym, rycerskim, wykwintnym kawalerze Dolabelli. Powtarzałam sobie cicho jego nazwisko, które mi się wydawało ślicznem i wdzięcznem, jakże różne od nazwy: Dziaduski, jakby umyślnie wybranem dla iście dziadowskiej postaci mego męża. Nagle zadrżałam, bo wśród tej ciszy ozwały się gdzieś z pośrodka krzaków nikłe, słodkie dźwięki lutni, płynące niby szmer strumyka, niby jakaś harmonia cudowna. Nie wątpiłam ani na chwilę, że to kawaler, gdzieś w cieniu ukryty, trąca delikatnie w struny lutni, i jak to Włosi nazywają, serenadę pod memi oknami wygrywa. Było to bardzo piękne, zachwycało mnie, przyśpieszyło bicie mego serca tak, żem rękę przyciskać je musiała, bo mi aż ból sprawiało, ale przypomniałam sobie, że jestem żoną innego i że mi nie wolno słuchać tej czarownej muzyki. Z wielkim wysiłkiem woli, z żalem podniosłam się, chcąc okno zamknąć, gdy niespodzianie ukazał się wśród świa tłości miesięcznej kawaler Dolabella.

O mój Boże, jakże pięknie, jak po rycersku i poetycko wyglądał! Na głowie o bujnych, kruczych włosach, w szykowne się loki zwijających, miał duży, ciemny biret z ogromnem piórem białem, spadającem mu aż po same ramiona. Otulony był w szeroki płaszcz bez rękawów, *almawiwą* zwany, którego fałdy zgrabnie się koło giętkiej figury układały, i trzymając lutnię w lewem ręku, prawą z jej strun owe rozmarzające dźwięki dobywał. Gdy zobaczył, że ja chcę okno zamknąć, głosem, przenikającym mnie do głębi duszy, zawołał:

— O! nie uciekaj pani, nie znikaj najpiękniejsza ze śmiertelnych, nie pogrążaj mnie w rozpaczy. Bo i czemuż pytam, nie chcesz wysłuchać sonetu, który na twoją cześć ułożyłem? Czyżby mi nie wolno było opiewać twych wdzięków o boska Juno! stokroć piękniejsza od tej najpiękniejszej z bogiń! O! nie uciekaj pani, pozwól niech w tę noc cudowną patrzę na ciebie, usrebrzoną blaskami miesiąca.

To rzekłszy ukląkł na ścieżce i wyciągając ku mnie dłonie, szeptał namiętnie:

— Nie! nie jestem dłużej w stanie ukrywać pożerającego mię uczucia. Julio! ja cię kocham, kocham nad życie, nad sztukę, której czcicielem jestem. Tak, kocham cię nadziemska istoto, boska, nieśmiertelna piękności, bóstwo zesłane na ziemię. *Jo te amo! amo!*

O! o! o! wszak to pierwszy raz w życiu słyszałam takie namiętne, takie palące słowa. Czułam, jak mię ogarnia jakaś bezsilność, jakieś słodkie omdlenie, jak padają w mą duszę niby rozżarzone iskry te wyrazy brzmiące kochaniem, miłością... Nie mogłam, nie miałam siły zamknąć okna. Napół nieprzytomna oparłam się o ścianę i stałam tak z rękami bezwładnie opuszczonemi, wsłuchując się w pieściwe brzmienie jego głosu, palona wstydem i żarem tych słów namiętnych. Przymknęłam oczy, jak ten, który widzi, że dach się nad nim zawala i z rezygnacyą czeka, rychło śmierć mu zada.

I już nie wiem jak i kiedy się to stało, ale nagle uczułam, jak jakieś ręce obejmują mą kibić i przyciągają ku sobie, jak ktoś silnie ciśnie mię do siebie i gorące pocałunki na mej twarzy składa i do ucha mi szepcze:

— *Julie, Julie*, kocham cię, bądź moją!

I czyż ja jestem temu winna, że moje usta na jego ustach zawisły? Wielki Boże, jesteś mi świadkiem, żem nie ja tu winna, że winna jest owa noc czarowna, dysząca wonią róż, fijołków i jaśminu, wysrebrzona blaskami miesiąca, ukołysana śpiewem słowika, że wszystko zgrzeszyło, a jam nie zgrzeszyła. I Boże, dzięki Ci niech będą, żeś mi prócz tego pocałunku, innego grzechu popełnić nie pozwolił, o dzięki Ci wielki Boże! Bo Tobie to, miłosierny Panie, zawdzięczam, że wśród tych piekących pocałunków i występnych uścisków, odzyskałam nagle przytomność, wyrwałam się z objęć kochanka i zawołałam wstydem i gniewem miotana:

— Wyjdź pan stąd! wyjdź natychmiast, roz kazuję!

Ukląkł, wyciągnął do mnie błagalne ręce, szeptał miłosne słowa, zaklinał, u nóg mych się włóczył, ale wszystko nadaremno. Odzyskałam całą przytomność, całą świadomość mego przestępstwa, mego obowiązku, świętości Sakramentu, łączącego mię z kim innym, i ponowiłam rozkaz, by natychmiast mą alkowę opuścił. Gdy się jeszcze wahał i błagać mię nie przestawał, zagroziłam, że wyjdę i udam się pod opiekę gospodyni domu. Wtedy zgrzytając zębami, łamiąc ręce, jęcząc żałośliwie, wyskoczył przez okno i znikł w ciemnościach nocy. Bóg jeden wie, jak cierpiałam wtedy, jaki mię żal serdeczny ogarnął, ile łez owej nocy pamiętnej, niezapomnianej nigdy, wylałam, jak mię pocałunki jego paliły, jaki mię wstyd ogarniał, że mu ust dałam i na pocałunek jego, pocałunkiem odpowiedziałam...

(kilka wierszy zatartych zupełnie i widoczne plamy od łez nie pozwalają odczytać tego ustępu).

„...stałam przed nim wstydem objęta, z pewnością bardziej czerwona od róży, którą mi ofiarował, ale nie mogłam, nie byłam zdolną gniewać się na niego, za nocną scenę. Taki był pokorny, taki słodki, miły, grzeczny i delikatny, że choć usiłowałam okazać urazę, nie potrafiłam. Nie wspominał wcale o nocnej przygodzie, o pocałunku, który mię zgrozą i niewypowiedzianym wstydem przejmował, tak, że nie śmiałam mu w oczy spojrzeć, był ujmujący, jak zawsze elegancki, pełen czci i głębokiego dla mnie uszanowania. Ale z szeptów między damami, z ich uśmiechów, i z kilku słów wyrzeczonych do mnie mimochodem przez Luizę, domyśliłam się, że w pałacu wiedzą o nocnej eskapadzie kawalera Dolabelli. Ktoś widocznie nas szpiegował, bo zazdrość gotowa jest uciec się do najbrzydszych czynów, byle zadość uczynić trawiącej ją nienawiści. A mnie przecież, widoczną było rzeczą, wszystkie damy stare i młode, brzydkie i ładne, zazdrościły tego, żem zniewoliła sobie serce kawalera. Ale czyż ja się staram o to? czy choć jeden krok zrobiłam, by go sobie zyskać? czyż nie okazywałam mu zawsze i wszędzie, że między mną, a nim nic zajść nie może, bo ja mam męża. Prawda, przyznaję to, kochałam go i kocham jeszcze, choć przekonałam się, że jest zdrajcą, ale o tem kochaniu przecież nigdy nie powiedziałam, a co większa, niczem nie okazałam, że moje serce niepodzielnie zajął.

Owe szepty i uśmiechy mych zazdrośnic zmartwiły mię bardzo, bo czułam, że plotka o owej nocnej scenie rozejdzie się szeroko i przybrana w rozmaite dodatki, których usta niewieście nigdy nie żałują, rzuci plamę na moją cześć niewieścią. Ale zrazu nic podobnego się nie stało. Uśmiechy znikły, przestano szeptów i znaczących spojrzeń, i wszystko wróciło do zwykłego porządku, do zabaw, tańców, muzyki i wycieczek.

Wśród tego wszystkiego, pewnego dnia kawaler rzekł do mnie:

— Jesteś pani okrutną dla mnie i taką na zawsze pozostaniesz, serce mi to mówi, ale błagam cię boska Juno, zrób mi jedną łaskę, pozwól, bym na wieczystą pamięć tych chwil rozkosznych, a zarazem tak bolesnych dla mnie, unieśmiertelnił twoje przepiękne, skradzione niebu oblicze. Pozwól bym zrobił twój portret.

I po chwili dodał:

— Bo cokolwiek zazdrości Zoile i zawiść mierności może o mnie powiedzieć, zawszeć ja jestem Tomasz Dolabella, wielki artysta, *anchio sono pittore!* i dzieła mego pendzla przejdą do nieśmiertelności. Niechże potomność wie, jak piękną, jak bosko piękną kobietę kochałem, a kochałem niestety! bez wzajemności.

Bez wzajemności! gdyby wiedział, jak mi się dusza do niego rwała, jak głos melodyjny brzmiał mi w uszach, jak nadsłuchiwałam jego kroków, które wśród tysiąca innych rozpoznawałam, jak żadna zabawa, żadna muzyka nie miała dla mnie uroku, jeżeli on w niej udziału nie brał; gdyby to wszystko wiedział, toby tak nie mówił. Ale tego nie wiedział, bo ja milczałam, bo mi przed oczami stała przysięga wyrzeczona przed ołtarzem, że wierną będę żoną mego męża. Ilekroć śliczne, palące, gorejące zapałem i miłością oczy kawalera na mnie spojrzały i jakby magnetycznie ku sobie ciągnęły, zawsze przypominałam sobie staruszka księdza, który mi ślub dawał w kościele Maryackim w Krakowie i brzmiały mi łacińskie słowa, wygłoszone przezeń nosowem brzmieniem: *accipe hoc annulum*... i ten pierścień, ta obrączka błyszczała mi na palcu niby nieustanne ostrzeżenie i przypomnienie moich obowiązków. Ale o tem wszystkiem, co się w mojem biednem, zgnębionem sercu działo, kawaler nie wiedział, bo ja milczałam...

(tu plamy z łez nieszczęśliwej mojej praprababki zatarły kilka wierszy)

...„bo nie mogę zataić tego, że propozycya tak sławnego mistrza, pochlebiała mi bardzo, pochlebiało mi to, że ten, który królów i królowych, książąt i księżniczek robił portrety, chciał i mnie malować, ale na razie nie zgodziłam się na to, bo pozwoleniem takiem nie chciałam podsycać tej zazdrości i tych gniewów, jakie ze wszystkich twarzy niewieścich, ze wszystkich kątów pałacu, na mnie jadem nienawiści wiały. Byłam najmłodszą, najpiękniejszą z nich, kawaler na każdym kroku mię wyróżniał, czyż to więc nie było dość powodów, by mnie te damy serdecznie nienawidzić nie miały? Więc odrzuciłam propozycyę mistrza, ale tak mię prosił, tak błagał, tak zaklinał, czyż mogłam mu się oprzeć? czyż każda kobieta w mojem będąca położeniu, nie uległa by prośbom człowieka kochanego gorąco? czyż mogłam wtedy przypuścić, że w tej pięknej twarzy, w tych słowach jego nie było miłości ku mnie, tylko chęć odmalowania ładnej kobiety, czysta namiętność artysty, pragnienie zyskania sławy? czyż mogłam przewidzieć, że to był zdrajca i prosty uwodziciel. Ale niech mu to Bóg przebaczy, bo ja już dawno przebaczyłam...

Rozpoczęły się więc, w wielkiej szklanej galeryi pałacu, posiedzenia, *seanse*, jak on to nazywał. Zanieśli wielką purpurową kotarę i przed nią mnie umieścili, by, jak mówił mej śniadej urodzie nadać ożywioną karnacyę. O! niezapomniane, do śmierci pamiętne chwile! Taki był piękny, taki ujmujący, taki blask geniusza bił z jego czoła i z jego oczów, że zapominając o wszystkiem, o świecie całym, oddałam się zupełnie rozkoszom tego słodkiego sam na sam. Zwykle „pozowałam“ (jego wyrażenie) od wczesnego ranka do południa i portret szybko postępował, i niebawem ujrzałam wykończoną moją głowę na dziwnem tle, jakby jakiegoś pożaru, jakiejś burzy ognistej. Było to bardzo piękne, ale robiło na mnie smutne wrażenie i pytałam się mistrza, dla czego mnie w ten sposób przedstawił:

— O, pani — odrzekł — wywołałaś w mem sercu nieznaną mi dotąd burzę, spaliłaś je na popiół. Niechże więc twoja śliczna główka, ma za tło burzę i pożar daleki.

„Ale niestety! nie długo miały trwać te rozkosze i to zapomnienie; niebawem bowiem ujrzałam w pięknym mistrzu, który mi się wydawał być ideałem, uwodziciela, strąconego do piekieł buntowniczego anioła. O! jakże gorzką była ta chwila, jakże wspomnienie jej rani dziś jeszcze moje biedne, utrapione serce!

„Pewnego dnia, a na dworze było chmurno i wietrzno i deszcz pokrapywał, dla tego seans nasz był krótki, bo jak mówił kawaler, brak mu światła, a przytem, ponieważ wszyscy siedzieli w domu, więc lękając się ich szpiegostwa, sama prosiłam o przerwanie posiedzenia — otóż, tego dnia, zapomniawszy jakiegoś drobiazgu, wstążki którą bardzo lubiłam, w wiejkiej galeryi oszklonej, gdzie na sztalugach zakrytych oponą stał mój rozpoczęty portret, wybiegłam ze swego pokoju i skierowałam się ku miejscu naszych słodkich seansów. Było tu, pusto i cicho. Deszcz gęsty począł padać i dzwonił po szklanym dachu galeryi, wiatr posępnie świszczał i miotał ogromnym wiązem, tuż przy oknie rosnącym, a mnie jakoś bardzo smutno było na duszy. Miałam bowiem taką naturę, że niepogoda, brak słońca i jasności zawsze wielką tęsknotę i zniechęcenie wywoływały we mnie, tak że nieraz rady sobie dać nie mogłam i płakałam rzewnie, o co się mój mąż zawsze gniewał, więc zwykle ukrywałam się przed nim z memi łzami i melancholią. I teraz to ponure, monotonne dzwonienie deszczu po dachu, ten świst wichru i szum liści wiązu, wprawił mię w taki jakiś żal, że szukając owej wstążki, mimo-

wolnie łzy mi napływać poczęły do oczów. Prawie pewną byłam, że nikogo niema w galeryi, gdy nagle z poza ogromnych kwiatów cieplarnych, których kilkanaście stało w głębi, zdawało mi się, że słyszę jakieś szepty, a wśród nich rozróżniam najwyraźniej pieściwy głos kawalera Dolabelli i Luizy Gaworowskiej. Uczułam silne ściśnienie serca, jakieś głębokie podejrzenie zdrady mną owładnęło, i nie zastanawiając się co robię, pędzona jedynie niepowstrzymanem pragnieniem naocznego przekonania się, co znaczą te szepty, na palcach, jak mogłam najciszej, skradać się poczęłam ku wielkiemu krzakowi granatu, z poza którego owe szepty dochodziły. I tego co ujrzałam nigdy, do końca życia nie zapomnę, nigdy nie przebaczę ani uwodzicielowi kawalerowi, ani bezecnej zalotnicy Luizie. Że nie padłam na miejscu trupem, sama się sobie dziwię.

Oto co ujrzałam:

Na maleńkiej kanapce, poza rozłożystym krzakiem granatu, który purpurowe wiązki swych kwiatów kładł na głowy kochanków, siedział kawaler, trzymając na kolanach Luizę. Oboje tak byli zajęci sobą i pocałunkami, jakimi się nawzajem bezwstydnie obsypywali, że nie słyszeli przytłumionego mego okrzyku, jaki mi się na ten widok mimowoli wyrwał z piersi, ani szelestu granatu, którego rozpaczliwie się chwyciłam, by nie upaść na podłogę. Wśród tych zbrodniczych i wszetecznych pieszczot, kawaler swym miodowym głosem szeptał:

— O Luizo, najdroższa Luizo, jakże ja cię kocham, jakże szczęśliwy jestem, że miłość naszą ukoronuje to dziecię nasze, które w łonie nosisz. Mówisz, że cię żal obejmuje, że to dziecię nosić będzie nie moje nazwisko, ale tego eunucha, który uchodzi za twego męża. Ale cóż to znaczy? czy w czem zmienia istotę rzeczy? czyż przez to owoc ten, nie jest owocem naszej gorącej miłości? O! Luizo, ubóstwiana moja Luizo...

Nie mogłam słuchać więcej tych słów bezwstydnych. Zakryłam twarz rękami, bo zdawało mi się, że pocałunki tego zdrajcy, którymi mię skalał owej nocy księżycowej, palą mię jak rozpalonem żelazem. Chciałam krzyczeć, ale przecie powstrzymałam się i miałam tyle mocy nad sobą, że jak najciszej uciekłam, zatykając uszy i oczy... O! o! o! jakże ciężko, jak strasznie zawiedzioną i ukaraną zostałam za to, żem wierzyła w miłość tego człowieka, a jednak...

(w tem miejscu papier strawiony przez wilgoć, a może przez łzy, pogryziony zapewne przez myszy i mole, pozostawił na sobie zaledwie ślady pisma, tu i ówdzie pojedyncze, bez związku, wyrazy, dopiero dalej nieco zaczyna się znowu ta bolesna spowiedź mej praprababki).

„...za nic więc na świecie nie chciałam dłużej pozostać w Gaworowie i patrzeć na te bezwstydne kobiety i tych szalejących mężczyzn. Ale niestety! chcąc z tego wszetecznego wertepu uciec, trzeba było mieć pieniądze, a ja ich nie miałam. Mój mąż, pan chorąży Dziaduski, wziąwszy pobodno za mną znaczny posag i majętności (jakie, nie wiem, bo mi opiekunowie moi nigdy o tem nie mówili), nie dawał mi pieniędzy, zresztą w domu, w Czarnowie, co prawda, nie potrzebowałam ich wcale, lecz wyprawiając mię do Gaworowa wsunął mi w rękę kilka czerwonych złotych, zalecając surowo, bym ich strzegła i w ostatniej tylko potrzebie wydawała. Z tych pieniędzy zostało mi zaledwie dwa talary srebrne, a miałam przecież tyle doświadczenia, że wiedziałam, iż te pieniądze nie wystarczą mi na podróż do Czarnowa. A przytem trzeba było służbie w Gaworowie coś zostawić, bo w tym niby pańskim pałacu, liczna służba ciągle patrzyła na ręce i większa część moich czerwonych złotych już do jej chciwych kieszeni przeszła. Nie chciałam też Luizy prosić o konie i kolebkę, bo mi ta kobieta, ta niewierna żona i zalotnica obrzydła, ile, że przypatrując się wielu rzeczom, przypominając sobie owe szepty jej z kawalerem i wskazywanie na mnie oczami, wzbudziły we mnie podejrzenie, że ona podmówiła swego kochanka Dolabellę, aby mię sprowadził z uczciwej drogi, nie mogąc znieść obok siebie niewiasty cnotliwej.

W takim rozpaczliwem położeniu, nie wiedziałam nieszczęśliwa, całe noce we łzach i bezsennie prze-pędz[illegible], co robić i gdzie szukać ratunku. Żeby się dostać tylko do Krakowa, myślałam sobie, to stamtąd udałabym się do Staniątek, do siostry Machtyldy, która mi zawsze wiele łaskawości okazywała i pewną byłam, że potrafiłaby mi dopomódz, bym do domu, do męża wrócić mogła. Ale jak się dostać do Krakowa? Zgnębiona, z ciężką raną w sercu, zawiedziona w najdroższych i najtajniejszych uczuciach, już postanowiłam wykraść się z pałacu i piechotą iść do Krakowa, choć nie wiedziałam drogi, ani w której stronie to miasto leży, ale liczyłam na Opatrzność, na opiekę Najświętszej Maryi Panny, do której zawsze żywiłam gorące nabożeństwo i pocieszałam się, że w tej mojej strasznej niedoli, nie opuści mnie i poda mi rękę pomocną. Już zrobiłam sobie skrycie zawiniątko z najpotrzebniejszych rzeczy i upatrywałam tylko sposobności wymknięcia się z tego bezecnego pałacu, gdy nagle Opatrzność, jak wówczas sądziłam, nie zapomniała o mnie i wybawiła mię z tego ciężkiego kłopotu. Nie wiedziałam, nie przeczuwałam nawet, jaki okrutny cios, jaką przyszłość bolesną miałam przed sobą.



Oboje tak byli zajęci sobą i pocałunkami.

Coś na czwarty dzień, po przekonaniu się w oszklonej galeryi o niecnej zdradzie kawalera i Luizy, gdym zdecywowana była wieczorem uciec z pałacu i pieszo puścić się w drogę, zjawił się w Gaworowie pan Zaremba, podstarości, konfident i prawa ręka mego męża. Niecierpiałam tego wygi szlachcica, który lizał się chorążemu, ludzi katował, dla mnie był niby z nadzwyczajnem uszanowaniem, a wiem, że nieraz podburzał przeciw mnie męża. Przyjechał on z kolaską otwartą, z dziewką służebną mało mi znaną, Kasią imieniem, która jednak okazała się być dobrą i serdeczną dziewczyną, i z pismem od pana Dziaduskiego. W piśmie tem mój mąż i pan nakazywał mi w wyrazach twardych i surowych, abym natychmiast wracała do domu, oraz uwiadamiał mnie, że opiekę nademną w tej podróży ma mieć Zaremba, żebym zatem była mu posłuszną i w niczem jego woli się nie sprzeciwiała. Nie podobał mi się ten list, zdawało mi się, że przecie jako żona zasługiwałam na przyjaźniejsze, łagodniejsze słowa, nie podobała mi się też opieka pana Zaremby i polecenie, bym mu posłuszną była, jemu, słudze, ale wobec możności opuszczenia Gaworowa zapomniałam o tem wszystkiem, nie zastanawiając się nad przyczynami tego rozkazu, szorstko wypowiedzianego i dziękowałam Panu Bogu, że mię z tej kompanii rozpustnej wyprowadza, i że nie będę potrzebowała puszczać się w hazardowną drogę, ja, młoda i niedoświadczona.

Ucieszona więc niezmiernie, piorunem byłam gotowa do drogi. Chłodno pożegnałam się z Luizą, która widocznie była zdumiona tym nagłym odjazdem i chciała mi coś powiedzieć, ale obecność Zaremby, który mię już na krok nie odstępował, przeszkodziła temu. Kawaler, który nie wiedział widocznie o moim wyjeździe, przybiegł zadyszany, z miną zrozpaczoną dopiero w chwili, gdym już siadała do kulaska i wołał:

— Jakto? pani wyjeżdżasz? a cóż będzie ze mną?... co się stanie z nieszczęśliwym artystą, bez ciebie o! najpiękniejsza ze śmiertelnych?

Nie odrzekłam nic, tylko chłodno skłoniłam się zdrajcy, choć słowa rwały mi się na usta, a serce biło mocno, ale obecność Zaremby, jego bazyliszkowe oczy wlepione we mnie, przekonywujące mnie, że mam przed sobą, nie opiekuna, w dalekiej podróży, ale stróża i dozorcę, powstrzymały gorący wybuch oburzenia i słów miłosnych, bo mimo wszystko, Boże nieśmiertelny, przebacz mi! ja tego człowieka kochałam... Z rozpaczą w duszy, zalewając się skrycie łzami, wyjechałam na zawsze z Gaworowa.

Zaremba rozkazał Kasi, aby usiadła na bryce, napakowanej żywnością, pościelą i wszystkiem, co było potrzebne w tak dalekiej podróży, a sam chciał się umieścić obok mnie w kolasce. Oburzyło mię to nadzwyczajnie; rozżalona zalana łzami, rozgniewana na tego dozorcę, który ośmielił się nie odstępować odemnie na krok nawet, zawołałam z uniesieniem, któremu sama się dziwiłam:

— Jak śmiesz asan tu rozkazywać? Kasia ze mną pojedzie, a asan ruszaj na brykę. Tam jest twoje miejsce.

Niegodny sługus zbladł, bazyliszkowe oczka zaświeciły mu się jak iskry, ale pohamował się, zdjął pokornie czapkę z głowy i rzekł:

— Kiedy taki jest rozkaz jaśnie pana.

— Ruszaj asan na brykę! Kasiu siądź tu obok mnie!

Skłonił się i odpowiedział:

— Ha! skoro taka wola jaśnie pani... ale jasny pan będzie wiedział o tem.

Nadział czapkę na głowę i podnosząc groźnie palec do góry, zawołał:

— Kaśka, pamiętaj!

Zdziwiona tym jego rozkazem, gdyśmy już ruszyli, spytałam Kasi:

— O czem on ci kazał pamiętać?

Dziewczyna zmieszała się mocno i odpowiedziała:

— Kiedy, proszę jaśnie pani, nie mogę powiedzieć.

Z tych słów wywnioskowałam, że ma jakieś sekretne rozkazy, których zabroniono jej wyjaśniać przedemną. Nie znając jej dobrze, bo niesłużyła ona w pokojach, nie chcąc się zresztą wdawać w konfidencye ze sługą, zbolała przytem mocno, całą duszą wyrywająca się do tego, który me serce zabrał, a którego prawdopobobnie już nigdy nie obaczę, nie pytałam więcej. Ale wypłakawszy się do syta, co mi znaczną ulgę przyniosło, a czemu Kasia z widocznem współczuciem w milczeniu się przypatrywała, zapytałam:

— Dlaczego Marcysi po mnie nie przysłano, tylko ciebie.

Marcysia była moją panną służebną i przywiązaną do mnie. Kasia na to odrzekła:

— Nie wiem, proszę jasnej pani. Kazano mi jechać, więc pojechałam, ale ja jasnej pani nie gorzej od Marysi usłużę.

— Któż ci kazał jechać?

— Pani klucznica.

— A Marcysi przed wyjazdem nie widziałaś, nie mówiłaś z nią?

— Nie... ale jasna pani może być spokojna, że ja potrafię usłużyć.

— Nie wątpię o tem. Widzę, że jesteś dobra dziewczyna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Praca narodowa we Lwowie.

Walka o podtrzymanie żywiołu polskiego na przedmieściach Lwowa, wobec naporu Rusinów na stolicę kraju, prowadzona jest z całą energią przez wszystkie te czynniki, które dbają o polski charakter Lwowa. Jedną ze sprężyn, bardzo pomocnych w tej pracy, są domy ludowe, które powoli dzięki ofiarności ogólnej powstają na lwowskich przedmieściach.

Przed kilku dniami dokonano uroczystego otwarcia domu ludowego T. S. L. w Lewandówce. Dzięki ofiarności podmieszczan stanął tam obszerny budynek, w którym znajdą pomieszczenie wszystkie polskie Towarzystwa Lewandówki, oświatowe i ekonomiczne.

Uroczystość otwarcia nowej placówki miała przebieg bardzo podniosły. Imieniem czytelni miejscowej powitał przybyłych p. Kulaś, poczem ks. Wł. Librewski dokonał poświęcenia budynku. Przemawiali poseł dr. Adam. p. Dąbski, Wieczorkowski i Sroka, wreszcie imieniem miejscowej ludności p. Szczepański.

W ostatnich dniach otwarto również we Lwowie drugą placówkę pracy oświatowo-narodowej. Jest to Bursa dla dziewcząt im. Felicyi z Wasilewskich Boberskiej. Dzieło to, rozpoczęte przez Komitet fundacyi, zostało doprowadzone do końca dzięki gorliwym zabiegom Koła Pań T. S. L. Przy ul. Poniatowskiego stanął wspaniały gmach, przeznaczony na pomieszczenie pięćdziesięciu dziewcząt. Poświęcenia i otwarcia Bursy dokonano bardzo uroczyście w ubiegłą niedzielę przy udziale przedstawicieli wszystkich sfer społeczeństwa polskiego oraz licznego grona byłych uczennic ś. p. Felicyi Boberskiej.

Illustracye nasze przedstawiają nowy dom ludowy na Lewandówce, grupę uczestników uroczystości poświęcenia domu, oraz gmach Bursy im. Felicyi Boberskiej.



Praca narodowa we Lwowie: Polski dom ludowy im. Tadeusza Kościuszki na Lewandówce. (Fot. M. Münz, Lwów).

O poprawę bytu.

Wzrastająca z dnia na dzień drożyzna poruszyła wszystkie sfery społeczne do walki z nią oraz do organizowania się w stowarzyszenia samopomocy, któreby potrafiły skutecznie popierać żądania, podnoszone przez różne grupy bądź urzędnicze, bądź też robotnicze.

Przed kilku dniami zebrali się na narady we Lwowie sądowi oficyanci i pomocnicy kancelaryjni. Wiec odbył się w sali rozpraw lwowskiego sądu krajowego, a uczestniczyło w nim około 250 osób. Na wiec przybył poseł dr. Głąbiński, reprezentanci Izby handlowej oraz liczne grono sędziów.

Przewodniczył obradom p. J. Głąbiński ze Lwowa, referaty wygłosili p. Hostyński ze Lwowa oraz p. Stramek z Krakowa.

Po dyskusyi uchwalono szereg rezolucyi, odnoszących się do sprawy uregulowania poborów służbowych oraz regulacyi stosunków służbowych w drodze osobnej ustawy.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników wiecu.

Wojownicze państewko.

Pierwsze strzały armatnie rozlegają się już od kilku dni na Bałkanie. Padły one ze strony Czarnogóry, która pierwsza zerwała dyplomatyczne stosunki z Turcyą i rozpoczęła wojnę. Dawna plemienna nienawiść, jaka od szeregu wieków trwała między Czarnogórcami a Turkami, znalazła znowu ujście w walce, która po obu stronach prowadzona



Praca narodowa we Lwowie: Uczestnicy uroczystości poświęcenia Polskiego domu ludowego na Lewandówce. (Fot. M. Münz, Lwów).

jest zawzięcie i krwawo. Niewielki ten kraj, zajmujący bowiem tylko dziewięć tysięcy klm. kwadratowych, liczy około 250 tysięcy mieszkańców. W historyi występuje po raz pierwszy w wieku XV. letnich zapasów wojennych armia czarnogórska dokazywała cudów waleczności. Czarnogórcy zwyciężyli w dwunastu bitwach, wielu mniejszych utarczkach i potyczkach, a opuścili pole walki tylko trzy wiek XIX. prowadzili Czarnogórcy wojny z Turcyą, z których zawsze wychodzili zwycięsko. Otrzymali też wreszcie dostęp do morza i otworzyli własny port Antivari, zostający najpierw pod opieką Au-



Wojownicze państewko: Wymarsz piechoty czarnogórskiej na pole walki.



Praca narodowa we Lwowie: Bursa dla dziewcząt im. Felicyi Boberskiej.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Po upadku Serbii Czarnogóra utworzyła osobne państewko, rządzone przez biskupa Cetynii. Już wtedy prowadziła ona stale walki z Turkami. Popierali ją Wenecyanie. Tak trwało aż do czasów metropolity Daniły z rodu Nieguszów, który nawiązał bliskie stosunki z Rosyą, a powoli cały kraj oddał pod jej wpływ. Wtedy to Czarnogóra po zwycięskiej wojnie z Turkami uzyskała niepodległość. W czasie wojny Rosyi i Austryi z Turcyą w latach 1788—1791 stanęła Czarnogóra znowu do walki z swym odwiecznym wrogiem. W czasie trzyrazy, kiedy nie mogli podołać przeważającej sile przeciwników. Turcy ponieśli w tej wojnie wielkie straty. Padło ich przeszło 13 tysięcy, a Czarnogórcy zabrali wiele materyału wojennego. Czarnogóra jednak także krwawo okupiła swe zwycięstwa, gdyż straciła blisko 10 tysięcy żołnierzy.

Wynikiem tej kampanii było jednak dalsze rozszerzenie granic państewka.

W r. 1806 walczyli Czarnogórcy wraz z Rosyą przeciw Francuzom, oblegli wojska francuskie w Raguzie i wypędzili je. Podobnie przez cały niemal

stryi, a obecnie już przez nich samych strzeżony. Czarnogóra została uznana przez wszystkie państwa europejskie jako niezależne państwo, a ostatni władca Czarnogóry ogłosił je przed kilku laty królestwem.

Dzięki dzielności swoich obywateli Czarnogóra zyskała sobie uznanie i poważanie w koncercie państw europejskich. Swemu sposobowi wojowania i osobistym zaletom żołnierzy zawdzięcza też Czarnogóra zwycięstwa, jakie odnosiła.



O poprawę bytu: Grupa uczestników wiecu oficyantów sądowych we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Czarnogórscy żołnierze odznaczają się wielką wytrwałością i odwagą. Posiadają także doskonałą znajomość terenu, na jakim wojnę prowadzą. Czarnogóra dotychczas, o ile prowadziła walki, ograniczała się zwykle albo do obrony swych granic, albo też czyniła zaborcze wyprawy w najbliższe kraje, które czarnogórscy górale znają doskonale, prowadząc z nimi handel lub też idąc tam szukać pracy. Dzięki tej znajomości okolic mogą wojska czarnogórskie posuwać się szybko naprzód, przedostając się przez góry drogami, które są niedostępne dla regularnego wojska tureckiego.

Zastosowując swą taktykę wojenną do terenów walk, stworzyli Czarnogórcy osobny typ prowadzenia wojny, t. zw. wojnę górską. Polega ona na tem, że nie atakują oni nieprzyjaciela wstępnym bojem, jako wymagającym wiele sił i pociągającym za sobą wielkie straty w ludziach, ale zwabiają go w zasadzkę w górach, a wtedy dopiero będąc pewni swych pozycyi i ich przewagi nad pozycyami przeciwnika, atakują szybko i gwałtownie, wprowadzając w szeregi nieprzyjacielskie zamieszanie, a co za tem idzie, często i popłoch. Podobnie zdobywali Czarnogórcy i fortece tureckie. Osaczywszy taką fortecę, odcinali jej dowóz żywności i głodzili. Na odsiecz, spieszącą z pomocą, robili po drodze zasadzki, a kiedy forteca znużyła się takiem obleganiem i jej załoga widziała się zmuszona sama szturmować oblegających, nagłym atakiem wdzierali się do jej wnętrza.



Wojownicze państewko: Król czarnogórski dokonywa przeglądu rezerwistów, udających się na plac boju.

Obecnie wojska czarnogórskie mają trudniejsze przed sobą zadanie. Mają prowadzić walkę zaczepną na terenie, leżącym daleko od ich rodzinnych gór, a więc ich naturalnej podstawy operacyjnej. I do tego potykać się będą nietylko z nizinnem wojskiem tureckiem, ale także również z góralami, wojskiem albańskiem. Jak z dotychczasowych wiadomości z placu boju wynika, szczęście wojenne znowu zaczyna się uśmiechać Czarnogórcom. Może więc jeszcze raz historyczna gwiazda nie zawiedzie dzielnych górali i pozwoli im utrzymać świetne tradycye przeszłości.

Illustracye nasze przedstawiają różne sceny z mobilizacyi i życia ostatnich dni w Czarnogórze.



Wojownicze państewko: Żołnierze i oficerowie czarnogórscy w obozie.

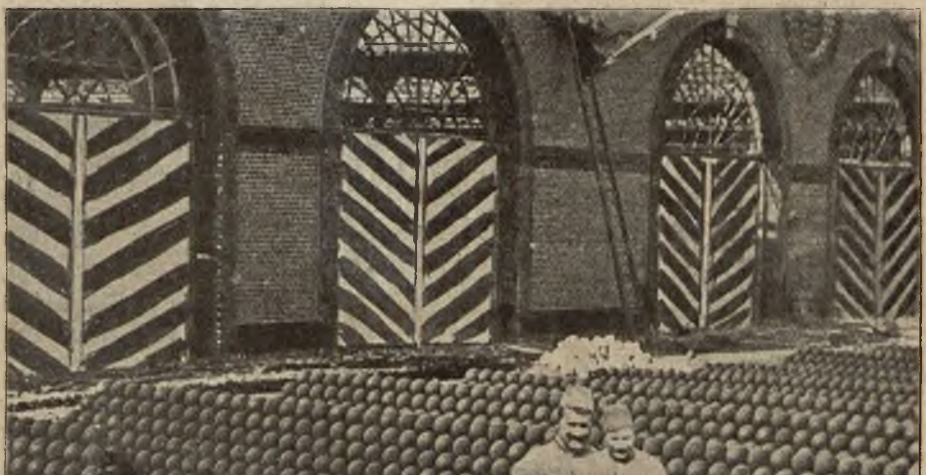
Wystawa rybacka we Lwowie.

Ze wszystkich dziedzin gospodarstwa wiejskiego w największem może zaniedbaniu znajduje sie u nas gospodarstwo rybne. To też czynniki powołane podejmują w tym kierunku usiłowania, aby przez zorganizowanie racyonalnej hodowli ryb zwiększyć rentowność naszych gospodarstw. Wśród tych usiłowań ważne niewątpliwie miejsce zajmie otwarta w tych dniach we Lwowie, w pałacu sztuki na placu powystawowym, wystawa rybacka, urządzona przez Tow. gospodarcze. Otwarcia wystawy dokonano bardzo uroczyście wobec licznego grona przedstawicieli władz, instytucyi i ziemiaństwa. Między innymi na uroczystość tę przybyli: marszałek hr. Gołuchowski prezydent Neuman, zastępca namiestnika radca Szeligowski, rektor uniwersytetu dr. Beck z gronem profesorów, reprezentanci politechniki, rektor Akademii weterynaryi dr. Królikowski z gronem profesorów, przedstawiciele instytucyi rolniczych, posłowie i t. d.

Po przemówieniu prezesa wystawy Adolfa hr. Brunickiego, który przedstawił cel dla którego wystawę urządzono, zabrał głos prezydent m. Lwowa Neuman, wyrażając radość, że pierwszą wielką wystawę rybacką urządzono we Lwowie, poczem przemówił jeszcze w imieniu gal. Tow. gospodarczego p. Lisowiecki.



Bałkan w ogniu wojennym: Odjazd rezerwistów bułgarskich ku granicy tureckiej.



Bałkan w ogniu wojennym: Stary arsenał w Konstantynopolu.

(Do artykułu na str. 2).



Wystawa rybacka we Lwowie: Uroczystość otwarcia wystawy. (Fot. M. Münz, Lwów).



Bałkan w ogniu wojennym: Miasteczko Berana, pierwsza zdobycz Czarnogórców w walce z Turkami.



Bałkan w ogniu wojennym: Rezerwiści serbscy w obozie pod Belgradem.



Ważna gałąź gospodarstwa wiejskiego: Uczestnicy i referenci kursu dla kierowników Spółek producentów bydła i trzody chlewnej, urządzonego w Krakowie przez komitet Tow. rolniczego: 1) Wiceprezes Galicyjskiej Spółki zbytu bydła i trzody chlewnej p. Edward Maurizio. 2) Kierownik kursu redaktor „Tygodnika rolniczego" dr. Stanisław Jasiński. 3) Adam Mniszek, delegat centralnej organ. rolniczej dla zbytu bydła i trzody w Wiedniu. 4) Dyr. Galicyjskiej Spółki zbytu bydła p. Ledóchowski. 5) Inspektor hodowli p. Julian Fuchs. 6) Inspektor hodowli p. Stefan Boguszewski.

Wystawa przedstawia się bardzo okazale i obejmuje wszystkie dziedziny gospodarstwa rybnego. Zwracają zwłaszcza uwagę akwarya, mieszczące się w efektownie urządzonych grotach po obu stronach pawilonu.

Illustracya nasza przedstawia uroczystość otwarcia wystawy.

Zaginiony artysta.

Bywalcom teatralnym dobrze jest znaną postać p. Eugeniusza Patiuszenki, sędziwego artysty chóru opery lwowskiej. Choć na scenie p. Patiuszenko nie zajmował wybitnego stanowiska, cieszył się ogólną



Zaginiony artysta: Eugeniusz Patiuszenko, artysta chóru opery lwowskiej

sympatyą. To też wielkie zaniepokojenie wśród kolegów wywołało tajemnicze jego zniknięcie. P. Patiuszenko, liczący obecnie lat 70, z powodu choroby nie przybył w roku bieżącym z operą lwowską do Krakowa. Za poradą dra Kruszyńskiego wyjechał dnia 5 czerwca dla poratowania zdrowia do Szczawnicy i tam pozostawał do 30 czerwca. Stamtąd, również za poradą dra Kruszyńskiego, wyjechał ze Szczawnicy i od tego czasu słuch o nim zaginął...

W tych dniach policya dokonała otwarcia mieszkania p. Patiuszenki przy ul. Kościuszki l. 16 we Lwowie, gdzie znaleziono wszystkie jego rzeczy nienaruszone. Wszelkie poszukiwania za zaginionym w tak tajemniczy sposób artystą pozostały dotychczas bez rezultatu.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

6)

— A! kto im dopomógł?

— Józefina.

— „Pani Bonaparte", proszę to sobie zapamiętać. Minęły czasy dyrektoryatu!

— Doprawdy. Dziwnie pan dla niej uprzejmy, przy tem wszystkiem, co pana kosztuje. Zdradza pana... Przecież była obowiązana donieść o tej in trydze.

— Masz racyę. Wolę jednak dowiedzieć się od ciebie. Mam przez to w ręku panią Bonaparte... Tedy wczoraj trzej rojaliści byli w Tuileries...

— W żółtym salonie na parterze.

— Kto ich wprowadził?

— Saint Régeant dostał się z państwem Lerebourg.

— Wiem, wiem, to moi dostawcy. To i piękna Emilia zajmuje się konspiracyą? Czy i miłością?

— Tego jeszcze nie wiem. Jerzy i Hyde czekali w dziedzińcu pałacowym. Rapp po nich był posłany.

— Pierwszy konsul wiedział już o tem? Jak długo byli?

— Lerebourgowie do dziewiątej. Emisaryusze do jedenastej. A co do ich rozmowy...

— Wiem dobrze. Żądali od konsula przywrócenia Burbonów i...

Fouché zamilkł i zaśmiał się:

— I są do tyla naiwni, by wierzyć, że on dla innych będzie pracował!

— A zatem...

— A zatem, Braconneau, spróbują go zgładzić ze świata, jak to już niejednokrotnie próbowali. Kto wie? Może im się uda wreszcie. I dla mnie i dla mych ludzi byłaby to sprawa niesłychanie przykra, gdyby bowiem stronnictwo Lucyana i Józefa wzięło górę, nie można być pewnym ani dnia, ani godziny...

— Czy po pierwszym konsulu tak wiele się spodziewacie?

— Nie, póki będzie konsulem. Lecz, jako cesarz nie mógłby się bez nas ruszyć, bo miałby przeciwko sobie i Jakóbinów i rojalistów? Wtedy nie wystarczyłaby mu policya wersalska.

— A co możecie mieć od rojalistów?

— To, co będzie szło w parze z ich osobistym interem.

— A od Jakóbinów?

— Szafotu. Ci nie przebaczają.

Tu umilkł szef policyi i jego podwładny. Niebawem Fouché tępy wzrok utkwił w Braconneau:

— Nie spuszczaj z oczu wszystkich trzech, a najczynniejszym specyalnie się zajmuj. Innych porucz pewnym ludziom i doноś mi wciąż...

Wprost z gabinetu przełożonego udał się Braconneau na Pont Neuf. Odnalazł na Quais de Orfèvres niepozorny domek, szybko wszedł na trzecie piętro, do drzwi zapukał po trzykroć z miarowymi przestankami, a staruszce, która drzwi otwarła, rzucił krótkie pytanie:

— Listy są? Był kto do mnie?

— Był wczoraj Leribier. Przyjdzie tu jeszcze. Co mu powiedzieć?

— Sam się z nim zobaczę. Nuże, Wiktoryo, wody do mycia, a żywo. Uorać mi się pomożesz.

Stara poszła do kuchni, wzięła kociołek z wodą i weszła do izby, w której na podstawach drewnianych widniało kilkanaście peruk, odpowiadających różnym typom, tak co do stanowiska towarzyskiego, jak i co do barwy włosów. W szafach ściennych wisiały rzędy przerozmaitych ubiorów, a na toaletce roiły się od przyborów do charakteryzacyi, niczem w garderobie aktora. Broconneau wszedł tam jako czerstwy mieszczuch z kręcemi włosami i zaniedbaną brodą, a wyszedł jako wyświeżony elegancik, wypudrowany, w stosowanym kapeluszu, z giętką laseczką w ręku. Wydał służącej rozporządzenia, wyjrzał i bacznie rozglądał się dokoła, poczem pośpieszył ku bulwarom. Sprężystym, młodzieńczym krokiem skręcił na ulicę l'Arbre sec, do zajazdu pod „Czerwonym Lwem". Była jedenasta, w ludnej sali kończono śniadanie. Braconneau szybko minął jadalnię i wszedł do kancelaryi, gdzie żona właściciela siedziała nad rachunkami. Serdecznie ją powitał, a ona przyjaźnie się odezwała:

— Wieki już pan do nas nie zaglądał, panie kawalerze.

— Wyjeżdżałem na pewien czas, pani Brigard. Ledwo wróciłem, pierwsze me kroki tutaj... Czy zastałem ks. Valoris?

— Tss... nie księdza... — zniżonym głosem ostrzegła kobieta.

— Racya! kapitana. A zatem, kapitan jest?

— Dam mu znać o przybyciu pana.

— Tyle ostrożności! Czyż on stale się konspiruje?

— Należało podwoić ostrożność... Policya podejrzewa.

— Do djabła z policyą! Za wiele o niej myślą.

— Cóż robić, panie. Fouché'go jakby opętało.

— Niech go piekło pochłonie! Ale oto i mój przyjaciel.

Młody człowiek, uśmiechnięty, żywy, w niebieskim stroju wojskowym podszedł do kawalera. Na krótkich włosach nosił trójkątny kapelusz. Zawołał dźwięcznym głosem:

— A! to kochany pan Lawerniéres! Jak się pan ma, drogi panie? Czy faraon zawsze sprzyja? A kobietki?...

— Ej, kapitanie — Braconneau na to. — W cztery oczy zbyteczne odrywanie roli!

Valoris rozejrzał się dokoła i odciągając modnisia na bok:

— Wyjdźmy — rzekł — na ulicę. Ma pan ważne nowiny?

— Ale to ja chciałem pana o nie zapytać; po to przybyłem.

Wracali na bulwary ulicą l'Arbre-sec.

— Mam zamiar niebawem opuścić Paryż i wrócić do Normandyi — począł Valoris. — A ks. Biernier poruczył mi ważne poselstwo do komitetu w Casu. Nastrój ogółu jest za pokojem.

— Więcej się po naszych wodzach spodziewałem... Czyżby się nie udało porozumienie z Bonapartem i zniechęciło ich?...

— Skąd wiecie o tym kroku?

— E, Fouché wczoraj już przepowiadał, że nic z tego będzie. Nie tajne jest nikomu, że przez wdowę Beauharnais szef policyi ma rychłe i dokładne wieści. I Bourienne sprzedaje mu, nawet słono, tajniki polityczne Bonapartego... Ja zaś mam w jego najbliższem otoczeniu zaufane i wierne ucho.

— Istotnie, panie Lawerniéres, oddaliście nam ważne usługi. Trzykrotnie dzięki panu uniknąłem więzienia, panu zawdzięcza wolność Coster de Saint-Victor, który niebacznie wpadł w pułapkę... Mimo to, nie będę ukrywał się przed panem z uprzedzeniem, jakie do pana czują nasi ludzie, mimo mego życzliwego stanowiska... Jakże może mieć tak dokładne informacye, powiadają mi oni, jeżeli nie ociera się o wrogi obóz? Musimy przypuścić, mówią na to, że stara się o nie, a gdzie, to rzecz nie nasza: my z nich korzystamy. Bezwątpienia! Bezwątpienia! Lecz oni są nieufni. Są to istne lisy ścigane, żyjące z zasadzkami, podstępami, napaściami; wietrzą je wszędzie. Nie zgadzają się na zawarcie z panem osobistej znajomości.

— Czyż to możliwe? — zasępił się rzekomy Lawerniéres. — I po tylu dowodach przychylności! Co mam robić?

Przybyli na brzeg rzeki i zatrzymali się w miejscu, gdzie osiczyny sięgały niemal środka wody. Sami byli. Na sto kroków dokoła nie dojrzeć nikogo. Valoris pochylił się zmartwiony ku przyjacielowi:

— Co robić? Jechać ze mną do Normandyi, dowieść tam gorliwości. Tam będzie sposobność do złożenia dowodów. Skoro napadniecie kilkakrotnie na pocztę rządową, poturbujecie kilku żandarmów, będziecie uznany za swego i nie będzie już uprzedzeń. Jeżeli jednak będziecie się, jak dotychczas, kręcić wciąż dokoła naszych ludzi w Paryżu... Wówczas, mógłby się zdarzyć jakiś przypadek... Dziś, n. p. polecono mi sprowadzić pana tutaj — i — kulkę w łeb!

I kapitan dobył z kieszeni pistolet, spojrzał na Braconneau tak groźnie, iż ten zbladł:

— No no, Valoris! bez przykrych żartów! — mówiąc to, policyant jednocześnie nie spuszczał oka z wylotu lufy, grożącej o metr przed nim, i odruchowo szukał broni po kieszeniach.

— Gdybym was miał zabić, Lawerniéres, byłoby już po wszystkiem. Uprzedziłem was, by oszczędzić waszego życia... Jeżeli jednak dobrze sobie życzycie, to zaniechajcie śledzenia nas. Wiecie, gdzie mię znaleźć, jeżeli są ważne wiadomości. Nie zapominajcie, że nie tracą was z oka!... Jeżeli jesteście szpiegiem, o co was posądzają, to pamiętajcie, że u rojalistów zasypaliście się i robota wam się nie uda. Zajmijcie się Jakóbinami... Zegnam, panie Lawerniéres i przepraszam za strach, który panu napędziłem.

— Lecz podejrzeń nie mogę panu darować! A ja tak pana polubiłem!

— I owszem! Może mię pan lubieć z daleka.

Valoris szybko zawrócił ku ludnym ulicom, a Braconneau powiódł za nim okiem i obmyślał plany na przyszłość:

— Trzeba tedy umieścić posterunek pod „Błękitnym Kołpakiem" i zająć się pięknym Saint-Régeant'em. Inni straceni już dla mnie.

W małej salce za biurem gospodarza z pod „Złotego Lwa", z góry tylko oświetlonej, zebrali się ci, których Braconneau tak poznać pragnął. Dokoła papierami rozrzuconego stołu rozmawiało z cicha pięciu ludzi. Jerzy przedewszystkiem bez surduta, bo tak mu wygodniej, Hyde, Saint-Régeant, markiz de Polignac i Coster de Saint-Victor, który mniemanemu Lawerniérowi zawdzięczał uwolnienie z lochów opactwa. Ksiądz Valoris wszedł cicho, bez pukania: pocisnął jeno sprężynę, ukrytą w ścianie.

— I cóż z nim? — zapytał Hyde.

— Odczepił się, lecz głupią miał przy tem minę. Pewny jestem, że już nie wróci. Lepiej byłoby palnąć w łeb, lecz Saint Régeant nie zgodził się na to... Lokal należy bezzwłocznie zmienić. Po południu Fouché będzie już wiedział o wszystkiem i naśle nam innego agenta. Znam dobrze na ulicy Dragon, w dzielnicy Augustyańskiej dom, w którym mieszka modniarka, Wirginia Grandeau, oddana sprawie. W jej mieszkaniu, za kuchnią, w murze wewnętrznym są dwa kradratowe, maleńkie zakamarki, trudne do odkrycia. Nawet nie wszyscy mieszkańcy domu wiedzą o ich istnieniu... Ksiądz Edgeworth, spowiednik króla męczennika i monsignore de Carbonniéres, kryli się tam bezpiecznie całe pół roku. Nalegam na to, by Cadoudal, Hyde i Sait-Régeant dziś jeszcze się tam udali.

— To się zaraz pokaże — szorstko odparł Jerzy. — Należy przedewszystkiem rozstrzygnąć kwestye zasadnicze. Ten Bonaparte postanowił zagarnąć Francyę na swą wyłączną korzyść. Upadła wszelka nadzieja porozumienia. Działać musimy. Co zamierzacie?

— Niema dwu zdań — oświadczył Sait-Régeant. — Usunięcie pierwszego konsula jest niezbędne.

— To znaczy, zabójstwo — dodał Polignac.

Zamilkli wszyscy. W grę wchodziło życie zwycięzcy z Rivoli, z Arcole, z pod Pyramid. Nie mogli się, mimo całej dzielności oprzeć wrażeniu. Lecz Jerzy nie uląkł się łatwo. Brwi ściągnął i zapytał:

— W jaki sposób chcecie go zabić, bo sposobów jest wiele. Możnaby napaść nań z pistoletem, lub ze sztyletem, ale ta droga nie trafia mi do przekonania. Jest coś małego, brak szerokiego, dostojnego gestu sprawiedliwości. A nadto, można chybić, a to nie byłoby pomyślne. Lepiej nic nie przedsiębrać, niż odejść z niczem. A jakby to było fatalnie ranić go tylko, lub nawet nie ranić. Popularność jego zyskałaby tylko na tem. Nie, w napadzie szanse tryumfu muszą być równe po obu stronach. Ja ofiaruję się dowodzić wyprawą.

— Powiedzcie, Jerzy, jak się do tego zabierzecie — zapytał Hyde i wsparł się na łokciu, by uważniej słuchać.

— Oto tak. Sprowadzę z Bretanii do Paryża małemi paczkami, różnymi traktami, w przebraniu przekupniów i robobotników, trzydziestu strzelców królewskich. Nim tu staną, postaram się o mundury gwardyi konsula, zakupię odpowiednią ilość koni, jakoby dla remontu garnizonu wersalskiego i umieszczę je pod Paryżem, n. p. w Monrouge, u pewnego człowieka. Będę wyczekiwał podróży pierwszego konsula do Saint Cloud i w Sèvres, lub w Boulogne umieszczę czaty. Bonaparte nie ma nigdy straży liczącej powyżej dwunastu ludzi. Na gościńcu zajdę mu drogę, a dzięki mundurom, będę mógł podejść blisko i dostać w ręce, nim ochłoną ze zdziwienia. Z szablą w ręku wyzwę Bonapartego. Bóg nas rozsądzi. Ręczę, że go dostanę.

— Bardzo romantyczny pomysł — uznał Coster. — Lecz z takim człowiekiem rycerskość nie na miejscu. On ma psie szczęście i wymknie się wam, Jerzy! Albo będzie miał przy sobie szwagra, Murata, a ten już tak rozprawi się z wami, że zjecie djabła, nim sobie dacie radę. Czy wiecie, że ten zbój bił się na szable z mamelukami Murada i jego krótka szabla wzięła górę nad ich krzywemi. Nie, nie! Myśl o czemś pewniejszem i praktyczniejszem. Wynik pojedynku byłby niepewny. Moglibyście być denuncyowany, konsul może mieć przypadkowo szwadron dragonów, miast garstki gwardzistów. Zmiotą was może jego żandarmi, nim go ujrzycie. Na trzy-

dziestu spiskowców może się znaleść jeden niezręczy, lub zdrajca...

— Odpowiadam za mych ludzi! — na to Cadoudal.

— W bitwie, na łęgach bretańskich, może. Lecz w spisku, na ulicach miasta, gdzie gra i kobiety kuszą... Możecie, Jerzy, odpowiadać za siebie, lecz za nikogo więcej.

— Co tedy poczniemy?

— Znam — rzekł spokojniutko Saint-Régeant — pewną bardzo ciekawą, a zarazem wcale nie skomplikowaną maszyneryę, która polega na baryłce, zawierającej jeden cetnar prochu, drugi kul i śrutu. Do beczki przytknąć lufę strzelby. Cała maszyna da się na ręcznym wózku przewieźć, gdzie potrzeba. O ile by się w pobliżu znalazł generał Bonaparte, konno, lub w pojeździe, zejdzie ze świata, jak przystało na takiego bohatera, w huku i błysku!

— Niezły pomysł — przyznawał Hyde. — Saint-Régeant jest pomysłowym wynalazcą.

— Oddajmy każdemu, co mu się należy — odpowiedział młodzieniec. — Zaszczyt wynalazku nie mnie przypada, lecz niejakiemu Chevalier'owi, a reklamę zrobiła mu policya, która go wykryła. Ow Chevalier, z rodu rewolucyonistów, gnije teraz w lochu, lecz beczułka jego czeka czynnej ręki...

— Śmiałka, który niedba o własne życie.

— To też proszę o powierzenie mnie tej czynności — dodał Saint-Régeant.

Cadoudal zadrżał. Zacisnął pięści.

— Na świętą Annę! Ładny z was numer, towarzyszu. Nie lubię waszego sposobu postępowania, lecz muszę przyznać, że jesteście dzielnym wśród dzielnych. Mamy tedy, panowie, dwa wnioski: mój i Saint-Régeant'a. Ku któremu się przychylacie?

— Ja jestem po stronie Saint-Régeant'a — krótko zdecydował Coster. — Plan tak obiecujący, że nie ma powodu wahać się.

Hyde, Polignac i Valoris potwierdzili skinieniem głowy.

— A zatem, rzecz postanowiona — orzekł Polignac. — Nam nie pozostaje nic, jak ostentacyjnie opuścić Paryż, by ułatwić towarzyszowi pracę. Jerzy wróci do Bretanii, Hyde do Anglii, Valoris przejedzie się do Niemiec. Mnie powołują ważne sprawy do Rouen. Policya uspokoi się, uwolni nas od opieki, a Saint Régeant będzie miał wolne ręce. Jak się weźmiecie do dzieła?

— Panowie, proszę o carte blanche. O ile się uda, nie użyję nikogo, chyba dwóch pomocników, którzy do ostatniej chwili nie będą wiedzieli, co się święci. Na razie i ja opuszam Paryż. Wrócę na czas stosowny.

— Jak się dowiemy o twych krokach?

— Nie dowiecie się nic, póki nie usłyszycie huku wybuchu.

— Ucałujmy się — rzekł Cadoudal. — Wątpię, czy się jeszcze zobaczymy. Poleć się Bogu, ja cię polecę królowi.

Przycisnął młodzieńca do szerokiej piersi. Sześciu spiskowców pożegnało się uściskiem ręki i wysunęli się, jeden po drugim z tajemniczej salki pod „Czerwonym Lwem“.

VII.

Pałac hanowerski, o kształcie rotundy, utrzymany jest w czystym stylu w. XVIII Wzniesiony przez księcia Richelieu zyskał to miano po wojnie z Niemcami, *vox populi* mniemał bowiem, że fundusz na budowę pochodził z zysków wojennych. Konwent nakazał zburzyć siedzibę Richelieu'go, lecz oszczędził okrągły pawilon i wynajął go przedsiębiorcy zabaw publicznych. Tamto, po uciszeniu terroru, zebrało się po raz pierwszy „towarzystwo“, długo zabaw pozbawione. Tam odbywały się t. zw. bale ofiar. Krewni osób straconych na szafocie, lub pomordowanych za terroru sadzili się na demonstrowanie swem przybraniem śladów ran, od których ginęli ich bliscy. Niejedna wielka pani, której matkę stracono gilotyną, wystąpiła z lekką pręgą czerwoną na szyi. Elegancik, syn powstańca z Wandei, poległego od kuli, obnosił na swem ubraniu skrawione strzępy. Ubierano się w kamizelki z ludzkiej skóry, ze śladami zadanych ran. Brutalną demonstracyą zagrzewali się nawzajem do odwetu i pomsty, i dojrzewał ich gniew w rozpasanej rzezi św. Rocha. Lecz za Konsulatu, po latach pokoju, po zaszczytnym traktacie w Amiens, towarzystwo oddało się niepodzielnie swobodnej niepohamowanej zabawie.

Bawiła się tedy burżuazya paryska w pawilonie hanowerskim po długim, przymusowym poście. Wytwornisie ubiegali się o pierwszeństwo z świetnymi przedstawicielami zwycięskiej armii. Co tylko było modne, stawało do zapasów elegancyi i zbytku.

Około godziny 10 przybyli na bal małżonkowie Lerebourg. W przepięknej batystowej sukni, ujętej powyżej stanu blado-niebieską przepaską, Emilia ślicznie wyglądała. Stroju dopełniał przepyszny ze starożytnych kamei naszyjnik, spięcia koloru paska trzymały greckie czesania. Nie minęła nikogo bez wzbudzenia podziwu. Za nią szedł mąż w niebieskim fraku, białej kamizelce, jasno-brązowych spodniach i butach z wyłogami, uśmiechnięty i zadowolony.



Dokoła stołu zarzuconego papierami rozmawiało cicho pięciu ludzi.

Tańczono wiele i z ożywieniem. Emilia dojrzała odrazu kółeczko znajomych. Tam poszukała miejsca, a dwóch asystujących damom elegancików skwapliwie ustąpiło jej swego. Królowała w tem kole bogata pani Letourneur, żona jubilera, rywalizującego z znanym Biennais, o łaski pierwszego konsula. Obok niej jaśniały obywatelki: Leterrier, żona znacznego dostawcy i Béjarride, żona kasyera wojskowego. Cały sztab młodych oficerków otaczał obywatelkę Junot, pociągany zarówno wdzięcznym uśmiechem i jasnemi włosami, jak sprytem i gryzącym dowcipem. A pani Hermelin, kreolka, zwana piękną brzydulą, nadeszła właśnie wsparta na ramieniu eleganckiego Montrona. W czasie przerwy między tańcami zabłysła powiewna suknia i marmurowe ramiona pani Talien, z poza bariery umundurowanych i cywilnych wielbicieli. Fala taneczna zalała powtórnie salony, a wspaniała bohaterka Termidoru znikła wraz z orszakiem. Zaledwo obywatelka Lerebourg zajęła miejsce, mąż jej zawołał:

— A, otóż i obywatel Leclerc!

Świetny krasą młodości, roześmiany pogodą, podszedł z ukłonem do Emili, wraz z towarzyszem o powierzchowności bardzo pospolitej, lecz w bogatem przybraniu. Widać było, że są w zażyłości.

Po powitaniu Lerebourg'ów, agent handlowy przedstawił im swego towarzysza:

— Obywatel Limoelan, mój krajan. Spotkałem go tu przypadkowo na balu, gdzie nie spodziewałem się go wcale. Bo grę przedkłada nad tańce.

— Istotnie, przypadek mię tu tylko sprowadził. Teraz mienię się szczęśliwym, że mogę ci, piękna pani, złożyć cześć i uwielbienie.

A do Lerebourg'a:

— Naznaczyłem tu spotkanie temu gałganowi Fapoultowi, komisarzowi rządowemu, temu, który to tak nieliтościwie złupił pod pozorem kontrybucyi wojennej Neapol... Mamy tam z sobą pewne porachunki... Ale djabełby z nim doszedł do ładu...

— Pieniądze mają tę do siebie, że łatwiej brać je, niż dawać — zauważył Lerebourg.

Zagrano walca. Saint-Régeant poprosił Emilię i puścili się w taniec.

— Tam do licha obywatelu! — rzekł Limoelan — trochę tu zaciasno... Pójdźmy do bufetu... Będzie tam chłodniej, a może się czem pokrzepimy.

Emilia i Saint-Regeant minęli w tańcu wszystkie salony, aż dotarli do długiej galeryi, przekształconej na cieplarnię. Mnóstwo par szukało tu zacisznego kątka, zdala od hucznej wrzawy. Tu, w ciszy, wśród klombów drzew egzotycznych, w atmosferze przypominającej letnie ogrody, kryły się pary przed wzrokiem ciekawych. Saint-Régeant i Emilia weszli powoli, nie troszcząc się o obecnych, zbyt przejęci wspólną tajemnicą. Wynaleźli okrągłą niszę, gdzie z paszczy delfina woda spływała strumieniem do marmurowego zbiornika. Skoro usiedli, Saint-Régeant ujął rękę Emilii i nim mogła mu się oprzeć, do ust ją przycisnął. Na twarzy młodej kobiety osiadła melancholia. Spytała, jakby pod wrażeniem tej jednej myśli:

— Czy to prawda, że pan jutro wyjeżdża?

— Tak być musi. Wymagają tego moje sprawy.

— Pańskie sprawy? Czy pan istotnie pracuje zawodowo?

— Oczywiście. I nie mogę zaniedbywać mej pracy. Lecz nie długo powrócę.

— Jak prędko?

— Za tydzień.

Na ustach pani Lerebourg powrócił uśmiech.

— I powróci pan na stale do Paryża?

— Tak.

— I zobaczymy się znowu w naszym sklepie?

— Niewątpliwie; będę musiał zdać mężowi pani sprawę z interesów, poleconych mi do załatwienia.

Z gniewem potrząsnęła głową.

— Niech pan nie zadaje sobie trudu traktowania mię, jak głupiej gąski, która nie wie, co się święci. Czy sądzi pan, iż uwierzę, że mam przed sobą agenta wyrobów aksamitnych i jedwabnych? Panie kawalerze de Saint Régeant...

— Tylko Wiktor Leclerc, przyjaciel pana Lerebourg. Mąż pani nie zaprosiłby w dom swój Saint-Régeant'a... Lubi natomiast handlowca, który oddał mu usługę i może nieraz jeszcze być pożyteczny... To też znać będzie jedynie Wiktora Leclerc'a.

— Ale ja znam pana de Saint Régeant, i nie wiem, co mam o nim sądzić, skoro podaje się za mieszczanina; w jakim celu to czyni? Przeczuwałam tu straszliwą politykę... Zaklinam pana, chciej mi przyrzec, że nie będziesz się mieszał w żadne sprawy, grożące utratą życia.

— Rozkosznie pani nierozważna — tu spojrzał na Emilię tak czule, że aż oczy spuściła. — Wszakżeż przyjąłem tę rolę jedynie, by módz być blisko pani. Pani jedynie przypisać to należy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wystawa drobiu w Warszawie: Rzadkie okazy. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Wystawa drobiu w Warszawie.

W gospodarstwie wiejskiem ważną rolę odgrywają kobiety. Jednym z jego działów, specyalnie uprawianym przez kobiety, jest chów drobiu. Aby tę dziedzinę pracy kobiet należycie przedstawić, ruchliwe Koło ziemianek zorganizowało w Warszawie specyalną wystawę pierzastego inwentarza wiejskiego. Wystawa mieści się na terytoryum Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa i została zorganizowaną pod każdym względem wzorowo. Zgromadzono tam nie tylko najprzeróżniejsze, a między nimi rzadkie okazy drobiu, ale także wzory gospodarstw, wylęgarnie i t. p.

Na wystawie zaprezentowano również bardzo licznie okazy królików, którym wobec drożyzny mięsa wołowego, hodowcy przepowiadają, jak wiadomo, wielką misyę w sprawie rozstrzygnięcia palącego problemu wzrastającej wciąż drożyzny.



Bałkan w ogniu wojennym: Obóz rezerwis'ów serbskich pod Belgradem.

Jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy.

Przed kilku dniami obchodził jeden ze znanych rękodzielników krakowskich p. R. Jahoda, majster introligatorski, zaszczytny jubileusz dwudziestopięciolecia swej pracy zawodowej. Uroczystość ta, w której wzięli udział licznie przedstawiciele różnych zawodów, połączona została z uroczystem otwarciem nowej pracowni, w której jubilat swój zakład pomieścił. Ceremonii poświęcenia nowego lokalu dopełnił kanclerz ks. Nikiel, poczem jubilatowi złożyli serdeczne życzenia zarówno jego towarzysze pracy, jak i szereg wybitnych przedstawicieli mieszczaństwa krakowskiego.

P. Jahoda cieszy się wśród swych kolegów zawodowych wielką popularnością, zarówno ze względu na niezmordowaną energię, z jaką podniósł swój zakład i uczynił go jednym z pierwszych w Galicyi, jak z powodu swej ofiarności i szczerej gotowości niesienia chętnej pomocy zarówno swym pracownikom, jak i kolegom.

Ważna gałąź przemysłu wiejskiego.

(Do illustracyi na str. 10).

Wobec trudnych warunków, w jakich znajduje się nasze rolnictwo, ważną rolę dla podniesienia rentowności gospodarstw odgrywa racyonalna hodowla bydła i trzody chlewnej. W tym celu niezbędną jest także należyta organizacya handlu bydłem. W tym kierunku ważnym krokiem naprzód są istniejące w Galicyi rolnicze spółki producentów bydła i trzody chlewnej. Dla należytego wyszkolenia ich kierowników odbył się w tych dniach w Krakowie specyalny kurs, zorganizowany przez Komitet c. k. Towarzystwa rolniczego.

Uczestnicy kursu obok wysłuchania fachowych wykładów z zakresu organizacyi rolniczej, gospodarstwa społecznego (referent dr. Stanisław Jasiński), konjunktury targowej (p. Adam Mniszek) manipulacyi eksportowej (p. Ledóchowski) i rachunkowości (p. Stamirowski), zwiedzili zakłady rolnicze, jak Studyum, gdzie wiele pouczających wyjaśnień udzielił prof. dr. Klecki, oraz zakład doświadczalny rolniczy, gdzie zasłużony bardzo dla rolnictwa naszego prof. Dr. Jentys powitał uczestników, informując o celach zakładu, o celach doświadczeń i t. d. Przytem demonstrowano narzędzia rolnicze, doświadczenia i t. p.

Kursiści zwiedzili także wystawę architektoniczną, gdzie ich oprowadzali inspektorzy hodowli, pp. Stefan Boguszewski i Julian Fuchs.

Illustracya nasza przedstawia uczestników i referentów kursu.



Wystawa drobiu w Warszawie: Ogólny widok wystawy. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Wystawa drobiu w Warszawie: Komitet wystawy.

OD WYDAWNICTWA.

Dożyliśmy czasów, brzemiennych w wielkie, może epokowe wydarzenia. Cały świat śledzi z niepokojem rozwój wypadków bałkańskich, które mogą stać się iskrą ogólno-europejskiego pożaru... Prasa, trzymając stale rękę na pulsie życia, tem bardziej w tak wyjątkowych warunkach musi spełnić swój trudny obowiązek. W poczuciu tego obowiązku **„Nowości Illustrowane“ będą jak najdokładniejszem odbiciem ważnych wypadków, rozgrywających się na półwyspie Bałkańskim.**

Nie cofając się przed znacznymi kosztami, wydawnictwo nasze zapewniło sobie **współpracownictwo korespondentów wojennych,** co pozwoli nam dać **pełny illustrowany obraz wojny na Bałkanach.**

Wobec nawału materyału wojennego będziemy starali się, w miarę możności, zwiększać objętość „Nowości Illustrowanych“, pomimo to jednak w tak ważnej chwili jesteśmy zmuszeni ograniczyć z konieczności dział illustracyi miejscowych, które muszą ustąpić miejsca wypadkom dziejowego znaczenia — na co zwracamy uwagę korespondentów i przyjaciół naszego pisma.

Szybkie, wszechstronne i **najbardziej objektywne, bo illustracyjne odzwierciadlanie zawieruchy bałkańskiej** połączone jest naturalnie **z olbrzymim nakładem starań i kosztów,** to też nie wątpimy, że nasze usiłowania znajdą gorące poparcie w najszerszem kole naszych Czytelników i całego społeczeństwa polskiego.

Kronika tygodniowa.

Jak rozkopany Kraków długi i szeroki, nikt o niczem innem nie mówi, tylko o wojnie, wobec czego i kronikarz musi się zastosować do ogólnego prądu i przejść pod znak Marsa, ale nie tego lwowskiego, gdyż on ma do czynienia wyłącznie z rodzajem żeńskim, do którego nie mam zaszczytu należeć.

Od dwu tygodni pracuję w pocie czoła nad wielkoświatową polityką i zmieniam kartę Europy na rozmaite sposoby, nie mogę przecież w żaden sposób dojść z tem do końca, zupełnie tak, jak moi koledzy po piórze i nożycach... (nie mam na myśli sławetnego cechu krawieckiego, jeno brać dziennikarską!...), którzy w jednym i tym samym numerze raz biją Turków, to znów Czarnogórców.

Codziennie urządzamy przy bombce bardzo ważne konferencye wojenne, że niech się schowają wobec nich narady różnych Berchtoldów, Kiderlenów, Bethmannów, Poincarych i Sazonowów i doszliśmy do przekonania, że najłatwiejszem byłoby wyjście tego rodzaju, by zaproponować powaśnionym państwom bałkańskim rozegranie matchu footballowego. Czarnogórcy, Bułgarzy, Serbowie i Grecy utworzyliby reprezentatywną drużynę, która stanęłaby z jednej strony, z drugiej zaś przedstawiciele państwa ottomańskiego.

Ponieważ jedni i drudzy są silni w nogach, dla sportsmanów byłaby to prawdziwa biesiada. Kto zrobi więcej bramek, ten zwyciężył bez apelacyi.

Z tego byłaby ponadto i ta korzyść, że możnaby pobierać monetę za bilety wstępu (naturalnie z dodatkiem na ubogich), a potem powtórzyć popisy we wszystkich większych miastach Europy.

Obeszłoby się bez rozlewu krwi, bez wydatków finansowych, owszem byłby nawet wcale pokaźny dochód, który możnaby potem obrócić na odrestaurowanie europejskiego pokoju.

Choć u nas na razie o wojnie niema mowy, przecież przedsmak jej czujemy już na własnej skórze, bo drożyzna z każdym dniem staje się coraz większą, a nie dawniej, jak wczoraj, w jednej z jadłodajni podano mi za dziewięćdziesiąt halerzy tak miskroskopijną porcyę kiełbasy smażonej, że po prostu bałem się, że ją zdmuchnę z talerza.

Gdym zwrócił uwagę personalu restauracyjnego, że to woła o pomstę do nieba, odpowiedziano mi poważnie:

— Wojna, panie dobrodzieju!

I tem zamknięto mi usta.

Jeszcze gorzej ma się rzecz z kredytem, który po poprostu ograniczono do niemożliwości. Każdy, do kogo się zwrócisz, rusza ramionami i mówi: Wojna! Wystarczy powiedzieć, że onegdaj, gdym się zwrócił do jednego z mych nadwornych dostawców monety z prośbą o krótkoterminową pożyczkę, którą pokryłbym wkrótce z zaciągnąć się mającej długoterminowej, odszedłem z kwitkiem. Kazano mi się zgłosić po wojnie!

Ta duszna atmosfera stała się też przyczyną runu na banki i kasy oszczędności. Rozpuszczono pogłoskę, że w razie wojny rząd zabierze złożoną tam gotowkę, pospieszono się też z jej wycofaniem.

Namiestnictwo wydało wprawdzie okólnik, mający uspokoić wzburzone umysły, nie na wiele się to przecież zdało.

Ja dałem posłuch słowom pana namiestnika i nie wycofałem nic, ale to z tego powodu, że nic dotąd nie złożyłem.

Zupełny brak gotówki, co zresztą jest u mnie stanem chronicznym, spowodował także odłożenie mego wyjazdu na pole walki *ad calendas graecas.*

A wielka to szkoda, byłbym bowiem stamtąd przesyłał autentyczne wiadomości i własne spostrzeżenia, a tak, mogę tylko powtarzać to, co inni widzieli, lub o czem słyszeli na własne uszy.

Że na Bałkanie nie jest wesoło, to każdy wie, czy jednak sytuacya jest tak beznadziejną, jak o tem opowiadają, trudno zgadnąć.

Jedno mnie tylko dziwi, dlaczego Turek, mając prawie nóż na gardle, przeciąga zawarcie pokoju z Włochami, chyba przecież nie przypuszcza, by mu się udało prowadzić wojnę na dwa fronty.

Dotąd miałem o nim lepsze wyobrażenie, już choćby z tej racyi, iż potrafi dać sobie radę z kilku lub kilkunastu nawet żonami, gdy nam z jedną jest trudno, obecnie tracę zaufanie do jego rozumu. Chyba, że lekceważy sobie przeciwnika, zwłaszcza tego bałkańskiego, który niema ani pieniędzy, ani amunicyi, ani nawet ubrania. Dość powiedzieć, że rezerwistom serbskim rozdano na razie jedynie czapki i do tego dziurawe, a tego chyba za mało do prowadzenia wojny!

Ja nie tracę jeszcze nadziei, że porozumienie włosko-tureckie dojdzie do skutku i ostygną zapały bałkańskich królików, zwłaszcza, że według doniesień *Vossische Zeitung* miał rząd rosyjski zawiadomić Czarnogórę, iż z powodu nieposłuszeństwa wobec polityki rosyjskiej odbiera jej państwową subwencyę w kwocie dwu i pół miliona franków i nie wypłaci już raty, która przypadała na pierwszego listopada.

To byłoby znakiem, że pokój europejski nie jest zachwiany, a ogień na Bałkanie sam wygaśnie. Co daj Boże!

Ja, jeśli się to spełni, ślubuję, że będę suszył przez cały rok 1913 to jest, że wody nie wezmę ani do ust. Będzie to trochę przykre, już choćby z tego powodu, że zdaje się, iż obecnie będziemy się żywić przeważnie śledziami, których połów według doniesienia *Nowej Reformy* miał być ogromnie obfity. A po śledziach, w jakikolwiek sposób są one przyrządzone, ma się zazwyczaj pragnienie, które trudno gasić w tych ciężkich czasach pilznerem, kosztującym już dziewiętnaście centów za bombę, a mającym podrożeć nawet na dwadzieścia!

To już po prostu klęska!

Ponieważ jednak człowiek nie jest pewnym ani dnia, ani godziny i nie wie, co mu jutro przyniesie, przygotowałem się na wszelką ewentualność i porobiłem zapasy, aby wraz z rodziną nie zginąć marnie z głodu. To przynajmniej dobre, że teraz, choć zima za pasem, nastają gorące czasy, obejdzie się więc człowiek bez węgli, a to przecież jedna z najważniejszych rubryk budżetu domowego, należąca, niestety prawie z reguły, do resortu spraw, załatwianych niepodzielnie przez tak zwaną głowę domu, która dość musi sobie nałamać głowy, zanim wytrzaśnie potrzebną na to gotówkę.

Jednem słowem, sytuacya jest tego rodzaju, że tych, którzy się jeszcze nie urodzili, należy uważać za szczęśliwych, bo nie potrzebują się kłopotać, w jaki sposób związać koniec z końcem, a przytem coś i dla siebie zaoszczędzić. Czasy gorące, trzeba się chłodzić bodaj piwem, a ono drogo kosztuje. Co zaś najgorsze, nie chcą go dawać na kredyt.

Miejmy jednak nadzieję, że zanim rok 912 (feralny już z tego powodu, iż poprzeczna suma cyfr wynosi 13!), dobiegnie do końca, sytuacya się wyklaruje, a pani de Thébes pokażemy figę, jak na to zasłużyła.

We Wiedniu kończą się tymczasem obrady delegacyi, na których uchwalono wcale pokaźne kredyty dla armii i marynarki i zapewniono, że i w latach następnych trzeba będzie pchać w ten dziurawy worek. Tym razem minister wojny miał mniej kłopotu z delegatami, którym wskazano na niepewną sytuacyę, wobec czego uchwalili tyle, ile żądano.

Za kilka dni rozpocznie się sesya parlamentarna, która potrwa zapewne bardzo długo, niema więc nadziei, by zwołano sejm galicyjski i przeprowadzono wreszcie reformę wyborczą, która ciągle pokutuje po różnych komisyach i rozbija się raz o tę, drugi raz o tamtą partyę polityczną. Każda przypisuje słuszność tylko sobie i nie chce ustąpić, wobec czego trudno dojść do porozumienia.

Wogóle nie tak prędko można się spodziewać załatwienia tej piekącej kwestyi, na którą nawet ś. p. nieodżałowany marszałek Badeni zapatrywał się dość pessymistycznie. Niezbyt dawno, prawie już w przededniu śmierci, zapytał go ktoś, co słychać z jego zdrowiem. Odpowiedział jowialnie, a zarazem ironicznie: Zupełnie to samo, co z reformą wyborczą! Lekarze twierdzą, że tym razem końca jeszcze nie będzie...

Niestety, kapłani Eskulapa pomylili się, co im się zresztą dość często zdarza, bo zgasł już ten człowiek, którego nazwisko złotemi głoskami winno być zapisanem w dziejach naszej autonomii. Miał, rzecz prosta, przeciwników politycznych, bo i któż ich niema, u mogiły Zmarłego zjednoczyły się jednak wszystkie stronnictwa i przyznały, że kraj nasz poniósł stratę wprost niepowetowaną.

Z chwilą, gdy kronikę doprowadzam do końca, jakaś otucha wstąpiła w moje serce, a to dlatego, iż się wypogodziło, choć zimno, a i horyzont polityczny jakoś się wyjaśnia...

I tak, zaczynając kronikę, narzekałem, że Turkowie kręcą coś z pokojem, dziś czytam w porannych pismach, że przecież preliminarya już podpisano, a oni mogą wobec tego uruchomić swą flotę i część armii, znajdującą się w Trypolisie, co zaś najważniejsze, otrzymają odszkodowanie w gotówce, a to w czasie wojennym dużo znaczy.

To tylko bieda, że ta włoska hipoteka jakoś jest strasznie niepewna, pod tym względem i Turek i Włoch stoją na tej samej „platformie“ finansowej, jeśli mi wolno użyć tego wyrażenia.

Mając zaś rozwiązane ręce na południu, będą mogli zabrać się energicznie do zaprowadzenia porządku na północy, a wówczas może być bieda z operetkowymi trzema królami.

Występ głośnego tenora w Krakowie.

Niebywale świetny sezon tegoroczny rozpoczyna dyrekcya koncertów wieczorem, który nawet i w tych „wojennych“ czasach może zwrócić na siebie uwagę. Znakomity tenor J. Urlus, występujący u nas po raz pierwszy, należy do składu „opery miliarderów“ w Nowym Yorku, dokąd powołano go jako następcę Slezaka, znużonego już amerykańskim trybem życia. Urlus jest z pochodzenia Holendrem i w Amsterdamie najpierw święcił pierwsze tryumfy. Sława jego kreacyi Wagnerowskich przedostała się jednak i do Niemiec, zawsze cierpiących na brak tenorów interesujących, umiejących śpiewać, i zyskała mu engagement do opery lipskiej z bajeczną gażą. W ostatnich latach zapraszano Urlusa do wszystkich uroczystych przedstawień Wagnerowskich, w tym roku śpiewał w „Walkiryi“ w Bayreuth, dokąd już jest zaproszony na rok 1914 jako jedyny przedstawiciel Zygfryda. Przepiękny głos ogromnej siły i wyjątkowa umiejętność śpiewacza czynią Urlusa zjawiskiem wyjątkowem wśród tenorów, działających na scenach niemieckich. Krakowscy amatorzy pięknego śpiewu skorzystają zapewne z nadarzającej się uczty artystycznej.



Występ głośnego tenora w Krakowie: J. Urlus, sławny tenor Wagnerowski jako Zygmund w „Walkiryi“. (Zdjęcie bayreuckie).



Jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy: Uroczystość jubileuszu p. R. Jahody, właściciela zakładu introligatorskiego w Krakowie.

Zjazd urzędników prywatnych we Lwowie.

Bardzo liczną, lecz pomimo to najmniej może zorganizowaną grupą pracowników stanowią urzędnicy prywatni, pracujący w najrozmaitszych biurach i instytucyach. W ostatnich czasach rozpoczęto też energiczną akcyę celem poprawy ich losu i zabezpieczenia ich przyszłości. W Austryi urzędnicy prywatni zdołali już wywalczyć sobie ubezpieczenie państwowe na wypadek śmierci i niezdolności do pracy, ale obowiązująca dotychczas ustawa posiada liczne braki i nie zadowalnia bynajmniej interesowanych. To też w dalszym ciągu prowadzona jest akcya, zmierzająca do zmiany tej ustawy i wogóle mająca na celu poprawę bytu tej kategoryi pracowników.

Wyrazem tych dążeń był też odbyty w tych dniach we Lwowie zjazd urzędników i urzędniczek prywatnych. Na zjeździe, który obradował w sali ratuszowej, pierwszy referat o ustawach ochronnych dla urzędników wygłosił poseł dr. Ernest Adam, poczem pos. Hudec omówił sprawę emerytury dla urzędników prywatnych, wykazując braki dotychczasowej ustawy emerytalnej.

Zjazd zakończył się uchwaleniem rezolucyi, przedłożonych przez referentów, a streszczających postulaty urzędników prywatnych.

Tragiczna pomyłka.

Tragiczny wypadek na tle surowych przepisów służby garnizonowej rozegrał się w tych dniach pod Krakowem. Posterunek przy magazynach wojskowych w Podgórzu zauważył jakiegoś człowieka, który w pobliżu fortów coś rysował. W przypuszczeniu, iż jest to szpieg, wysłano żołnierzy w kierunku nieznajomego, ten jednak począł uciekać. Żołnierze puścili się w pogoń za uciekającym, który biegł ciągle pomimo wezwań, aby się zatrzymał. Wobec tego jeden z żołnierzy strzelił do uciekającego i położył go trupem na miejscu.



Zjazd urzędników prywatnych we Lwowie: Grupa uczestników i uczestniczek zjazdu. (Fot. M. Münz, Lwów).

W zabitym rozpoznano następnie czeladnika krawieckiego Franciszka Różyckiego, który pracował w Związku katolickich krawców w Krakowie. Stwierdzono również, że zaszła w tym wypadku tragiczna pomyłka. Przy zabitym znaleziono rysunek nie fortu, lecz... kołnierza, potrzebny mu widocznie do jego robót krawieckich. Różycki był przytem niemową i dlatego nie mógł słyszeć wezwania żołnierzy...



Tragiczna pomyłka: Zwłoki ś. p. Franciszka Różyckiego, zastrzelonego przez wartę wojskową na Podgórzu pod Krakowem.

I. Zjazd głuchoniemych w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 3).

Ciężkie jest kalectwo ludzi od urodzenia głuchych i pozbawionych mowy. A jednak i tu sztuka i praca potrafi dokazywać niemal cudów. Dzięki umiejętnemu wychowaniu i kształceniu głuchoniemi zdobywają wiedzę i stają się pożytecznymi członkami społeczeństwa, pomimo swego upośledzenia zdolni do życia i pracy... Jednym z najlepiej urządzonych zakładów dla tych nieszczęśliwych jest Warszawski Instytut głuchoniemych i ociemniałych. O jego owocnej pracy świadczy wymownie odbyty w tych dniach w Warszawie zjazd maturzystów, którzy ukończyli Instytut od r. 1877 do 1897.

Na zjazd tam zjechali się maturzyści z Litwy, Wołynia, Równa, Białegostoku, Lublina, Łodzi Sieradza, Radomia, Łowicza, Nowego Miasta, Płocka, Włocławka, Nowo Mińska i innych miejscowości — w liczbie 150. Przed godz. 9 rano w kaplicy Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, przybranej kwiatami i dywanami zaczęli się gromadzić uczestnicy i goście, a także personal nauczycielski zakładu.

Nabożeństwo uroczyste odprawił ks. Martyński a kazanie na migi wypowiedział ks. Kaczyński (obaj prefekci instytutu). Po ukończeniu kazania dyrektor instytutu p Jungers, oraz wicedyrektor p. Monczarski, a także p. Bereza i p. Sapiejewski powitali uczestników.

Po nabożeństwie uczestnicy zjazdu udali się do gospody głuchoniemych przy ul. Piwnej Nr. 11, gdzie powitał serdecznie ich komitet złożony z pań: M. Łopieńskiej, J. Witmanowiczowej i pp.: J. Rogowskiego, Z. Wojciechowskiego, W. Ostaszewkiego, J. K. Lipińskiego, H. Brykalskiego i J. Piwensteina. Tu nastąpiło wzajemne poznanie się i przypomnienie czasów koleżeńskich. Po złożeniu podpisów w księdze pamiątkowej i po skromnym posiłku, udano się do restauracyi Wrobla na śniadanie. Sala restauracyjna przedstawiała niezwykły widok, mimo bowiem znacznego ożywienia gości i mimo ruchu i żywej gestykulacyi, panowała radość i głęboka cisza. Po przemowie wicedyrektora pana Monczarskiego złożono serdeczne podziękowanie projektodawcy Zjazdu, p. J. K. Lipińskiemu, za doprowadzenie Zjazdu do skutku.

Następnie po krótkiej wycieczce na miasto, uczestnicy Zjazdu zgromadzili się znowu w gospodzie gdzie p. J. Rogowski, uczestnik kongresu międzynarodowego głuchoniemych w Paryżu, zdawał w ciągu 2 godzin sprawozdanie przyjęte przez zebranych z wielkiem uznaniem.

Następnie na mównicę wszedł ks. Martyński, który w pięknych słowach imieniem ks. Kaczyńskiego i personalu b. nauczycieli pożegnał uczestników zjazdu, wyrażając życzenie, aby za 5 lat, na jubileusz 100 letni założenia instytutu przez śp. ks. Falkowskiego jak najliczniej znowu się zjechano.

Wyścigi kolarzy na Śląsku.

W ubiegłą niedzielę dnia 13 bm., odbyły się staraniem niedawno powstałej sekcyi kolarskiej przy Sokole Cieszyńskim pierwsze wyścigi kolarskie na Śląsku, urządzone na drodze Cieszyn-Bogocice, które ściągnęły tłumy publiczności polskiej na start jak również publiczność niemiecka z zajęciem śledziła przebieg zawodów.

Biegów było oś. W biegu o mistrzowstwo Śląska pierwszy przybył do mety p. Zenon Wołoszynowski przebywając przes rzeń 10 klm. w 17 m. 30 s. zdobywając szarfę i tytuł mistrza Śląska na rok 1912. Drugim był p. Höchsmann, a trzecim p. H. Reindl obaj z Krakowskiego klubu cyklistów i motorzystów. Urządz nie wyścigów było wzorowe, w czem niemała zasługa p. Karola Kübla, naczelnika Sokoła Cieszyńskiego. Po ukończeniu zawodów



Wyścigi kolarzy na Śląsku: Zenon Wołoszynowski, mistrz Krakowa, Galicyi i Śląska.

odbyła się zabawa w Domu Narodowym, gdzie też rozdano nagrody zwycięzcom.

Załączając podobiznę mistrza Śląskiego w dzisiejszym numerze, warto wspomnieć, że p. Zenon Wołoszynowski, inicyator i prezes tak pięknie rozwijającego się klubu cyklistów i motorzystów w Krakowie, zdobył w tym sezonie wszystkie mistrzowstwa kolarskie. mianowicie mistrzowstwo Oddziału Kolarskiego „Sokoła" krakowskiego, mistrzostwo Galicyi (100 klm. w 4 g. 17 m.) i ostatnie mistrzostwo Śląska.



Teatr Apollo w Krakowie: Hiszpańska tancerka Rosario Santafe.

Teatr Apollo w Krakowie.

Dnia 16 b. m. rozpoczęła swe gościnne występy w przejeździe do Petersburga w Teatrze Apollo najsławniejsza hiszpańska tancerka narodowa Rosario Santafè i wystąpi w swej niezwykle oryginalnej i do tej pory u nas niewidzianej pantomimie tanecznej „El Gaucho" na koniu.

Przez swoje ogniste, pełne południowej namiętności tańce zdobyła wszędzie, gdzie tylko występowała, entuzyastyczne uznanie, a cała zagraniczna prasa nazywa ją jednogłośnie największą współczesną tancerką. W krótkich, bo tylko 8 dni trwających występach zapozna ona Kraków z prawdziwym hiszpańskim tańcem narodowym i należy się Dyrekcyi Teatru Apollo, która kosztem wielu ofiar atrakcyę tę dla Krakowa zdobyła, pełne uznanie.

Nowości w dziedzinie fotografii.

Fotografia, podobnie jak inne dziedziny, na których doświadczenie i umiejętność mogą czynić odkrycia, postępuje także naprzód, udoskonalając się oraz tworząc obrazy o wszelkich cechach artystycznych. Ostatnie czasy przyniosły wiele na tem polu nowości. Obecnie zwraca na siebie uwagę urządzona w Krakowie przez fotografa B. Hennera przy ul. Szewskiej nadzwyczajna wystawa t. zw. węglodruków, jednej z najnowszych zdobyczy techniki fotograficznej. Są one w swem wykonaniu podobne do artystycznych sztychów, przez co zyskują na wyglądzie i wartości artystycznej. Między portretami i fotografiami znajdujemy tam doskonałe podobizny artystów dyr. Solskiego, J. Węgrzyna i p. J. Mrozowskiej.

Illustracya nasza przedstawia nową wystawę firmy przy ul. Szewskiej.



Nowości w dziedzinie fotografii: Nowa wystawa zakładu fotograficznego B. Hennera przy ul. Szewskiej w Krakowie.

NADESŁANE.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 40.

Łamigłówka: Pol, Ibsen, Odyniec, Tetmajer, Reymont, Słowacki, Kochanowski, Anczyc, Romanowski, Gorecki, Asnyk.

Zadanie konikowe: Gdzie cienko, tam się rwie.

Szarada: Listopad.

Bilety wizytowe: Szambelan dworu Ławnik magistratu. Prezes parlamentu.

Logogryf: Murat, Artot, Rubel, Cello, Irena, Nocek, Bülow, Essex, Heine, Ameba, Ibsen, Marka.

Trójkąt magiczny: Gawalewicz, Abonament, Wieloryb, Abonent, Lisier, Erazm, Woda, Iwo, Ci, Z.

Zadanie do przestawienia: Nie kupuj kota w miechu.

Szarada: Mandolina.

Zadanie do przestawienia: Prawda w oczy kole.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: W Kowalski Lwów, D. Sedyńska Zakopane, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Orlińska Jaworów, S Krzyżanowski Podgórze, H. Wincencik Kraków, J. Czarkowski Skierniewice. K Fijałkowski Jasło, L Berezowski Nowy Sącz, S Mann Bochnia, L. Bandrowski Częstochowa, K. Trojacki Wiedeń, I Brzostowski Podgórze, S. Korytowska Janów, D. Engelberg Rzeszów, T Kinalski Tarnopol. H Lasocińska Lublin, S Bukowski Kijów, K. Więckowska Warszawa, R. Karczmarski Kraków, L Ostrowski Petersburg, K Stumpf Stanisławów, J. Rachwalski Sędziszów, S. Kozłowski Kraków, S. Kowalówka Lwów, J. Jagłarz Tarnopol, M. Kadulski Oświęcim, S. Krysiński Częstochowa, E Niestenberger Zakopane, K. Hoszowski Jaremcze, S. Ścibor Mszana, J Jahoda Cieszyn. W. Lisowski Warszawa, K Zegartowska Bogucice, J. Wojciechowski Rzeszów, M. Wójtowicz Kraków, J. Gruber Drohobycz, I. Wiewiórowski Warszawa, M Kawalski Tarnów, K. Janik Drohobycz, A. Barnat Złoczów, T. Chrzanowski Suwałki, C. Wang Tarnobrzeg, J. Gruszczyńska Wadowice, M. Toporowski Lwów, H. Biesiadecki Kraków, M. Różycki Lwów, W. Borkowski Kraków, J. Roland Kielce, E Mianowska Lwów, S Sokołowski Rzeszów, I. Zaleski Czerniowce, R. Bałuk Kołomyja, S. Samlicki Przemyśl, W. Nowacki Przemyśl, J. Jakubowska Kraków, Z. Mazarski Radom, I. Gajewski Tarnów, S. Stawarski Wiedeń, A. Biliński Tarnopol, M. Kruszelnicki Janów, W. Fiala Kraków, R. Zawadzki Tarnów, K Radomski Lwów, J. Obraczay Morawska Ostrawa, M. Krawecki Radomyśl, H. Schwarz Warszawa, R. Aleksandrowicz Płock, R. Majewski Lwów, S. Kozarski Sichów, A. Augustynowicz Lwów, R Bobrowski Lwów, J Gans Suczawa, M. Antosz Sanok, W Gliński Jaremcze, D Staniszewski Lwów, L Larger Kraków, P. Madejski Wiedeń, K. Maresch Lwów, J Gottwald Stanisławów, T. Nikiel Kraków, S Lichański Radziwiłłów, M. Scholz Rozwadów, A Dużak Kraków, S Gad miki Krosno, L. Mroz Lwów, S. Niżyński Sanok, J Topolnicki Kamieniec, E. Dembiński Szczawnica, J. Zachara Mielec, K Galiński Sanok, M. Malinowska Lwów, T Niziel Kraków, J. Kamocki Kalisz, S. Dulęba Rzeszów, M Horak Oświęcim, S. Łapiński Warszawa, F Schmidt Cieszyn M Sadowski Poronin, A Trzeciak Krynica. J. Popiel Mińsk, T. Tichy Cieszyn, I. Błachowski Szczucin, J. Cichoń Warszawa, S. Lindenbaum Czerniowce, R. Cegielski Poznań, A. Wilczkiewicz Stanisławów, W. Potocka Kraków, J Czernecki Cieszyn. M Rosenbaum Rzeszów K Gadomski Zakopane, H Kamiński Lwów, W Kwaśniewski Opatów, A. Siatka Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Bojczuk Tarnów, F. Blatterfeind Jaworów, M. Klapholz Rzeszów, F Urbin Lwów, G Świrski Piotrków, T. Gottlieb Sambor, K Kaim Kraków, W. Piątek Podwołoczyska, S Dubiel Krosno, L Karwowski Pilzno, R Reich Łódź, K Armatys Ulanów, R Link Lwów, A Gralewski Kraków, J. Sperling Wiedeń, S Raczyński Rzeszów, M Wyka Sambor, J Strojek Tarnów, H Górecka Janów. K. Zapałowicz Wilno, M. Wojakowski Petersburg, M. Obst Łódź, H. Ligęza Lwów, J. Mizerski Płock.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Schmidt, Cieszyn.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Szkoła nauk społeczno-politycznych rozpoczyna dnia 21 b m drugi rok swego istnienia. Wobec powodzenia, jakiem cieszyły się urządzane tam wykłady w roku ubiegłym, zarząd oparł naukę na następujących zasadach; 1) Wykładane będą przedmioty z zakresu socyologii, prawoznawstwa, ekonomii i polityki społecznej, historyi powszechnej i polskiej, kładąc główny nacisk na wiek XIX Wśród przedmiotów wykładowych pomieszczono w programie nie wykładane u nas nigdzie: hygienę społeczną, pedagogię społeczną, oraz psychologię dla prawników. 2) Specyalny nacisk kładzie program na oświetlenie stosunków politycznych i ekonomicznych w trzech zaborach Polski, oraz na stosunek do państw zaborczych, a także na rozwój myśli społeczno-ekonomicznej polskiej. 3 Wykłady nie będą zasady socyologii, ekonomii, antropologii i etnografii. 4) Kurs szkoły rozłożony został na dwa lata. Rok bieżący stanowi kurs pierwszy dla nowo-wstępujących słuchaczów Ponieważ zaś żaden z wykładów z roku zeszłego nie będzie powtórzony, słuchacze zeszłoroczni spotkają się z nowym dla siebie materyałem. 5) Świadectwa ukończenia szkoły otrzymywać będą słuchacze zwyczajni po złożeniu prac piśmiennych i zdaniu colloquiów. Program drukowany otrzymać można w kancelarii szkoły N S. P., Wolska, 13, II p. codzień od 5 7, — Zapisy na półrocze zimowe rozpoczęły się 7 października.

Targ owocowy: W czasie od 19 do 28 b. m. urządzony zostanie w lokalach Wystawy architektonicznej w Krakowie, targ na owoce, z którego skorzystać mogą zarówno właściciele owoców w celu sprzedaży jak i kupcy, czy osoby prywatne, chcące porobić zakupy na zimę Targ podobny okazał się potrzebnym wobec obfitego urodzaju na owoce w kraju, pomimo którego przecież sprowadzono z Tyrolu parę wagonów jabłek. Zakomunikując owoc pozakrajowy sprzeniewierzamy się popularnemu hasłu popierania wytwórczości krajowej, która w niczem zagranicznej nie ustępuje.

Publiczna wypożyczalnia Związku Okręgowego T. S. L. Publiczna wypożyczalnia Związku Okręgowego istniejąca już od lat dziewięciu w Krakowie, została przeniesiona z gniem 1 października do nowego lokalu znacznie rozszerzonego do **Szarej Kamienicy** w Rynku Biblioteka publiczna, jak zresztą powszechnie wiadomo, dostępna jest dla wszystkich członków T S. L. (wkładka roczna 2 korony) i wydaje książki codziennie od 10 - 12 rano i od 4—8 wieczór. Abonament miesięczny 80 h względnie 3 hal od dzieła za dzień.

Z półek księgarskich.

Drugi rok istnienia dla pisma, poświęconego specyalnej gałęzi — to rzecz u nas niezwykła. Zazwyczaj pisma takowe prowadzą życie efemeryd, albo też zwolna i stale zamierają, nie mogąc wobec braku poparcia rozwinąć się na większą skalę. Tem milej nam przeto zaznaczyć, iż nie tylko przetrwał rok cały **„Lotnik i Automobilista“**, ale jeszcze Nr 10-ym, który opuścił tłocznię, wykazał, iż około pisma zgromadziło się koło wybitnych sił, pracujących na tem polu. Obok innych aktualności pomieszczono tu artykuły o „Samochodach w pożarnictwie“, o „Nowoczesnym typie płatowca“, o rekordach wysokości, o gatunkach stali, używanych przy budowie samochodów; na szczególną zaś uwagę zasługuje dodatek p. t. „Wszechsport“ w którym redakcya postanowiła zobrazować: „Rozwój sportu wioślarskiego na ziemiach polskich“. Do ostatniego numeru dołączono kwestyonaryusz, w którym wszyscy wyrazić mają swoje opinie co do poszczególnych działów tego zawsze interesującego nawet dla niespecyalistów redagowanego miesięcznika.

MACIERZ POLSKA wydała jako nr. 74 swej Biblioteki książkę napisaną przez dra Adama Skałkowskiego p. t **„Rok 1812. Opowiadania z dziejów wielkiej wojny“.** Jest to praca oparta na oryginalnych studyach, podejmowanych w archiwach francuskich, owoce jednak badań przedstawione zostały w sposób przystępny, nierzadko obrazowy. Rola wojska polskiego wybija się tu na plan pierwszy. Rzecz ozdobiona szeregiem rycin, przeważnie dotąd nie reprodukowanych, a wydobytych ze zbiorów warszawskich.

Całość liczy stron 132, cena 1 kor. 30 hal.

Nr X **„Słowa prawniczego“** wychodzącego w Krakowie pod redakcyą dra Zygmunta Mendla zawiera: Po złożeniu obrony Zmiany statutu Kasy Oszczędności m. Krakowa. Gminne urzędy rozjemcze Pod adresem. Prezydyum c. k. Sądu Z orzeczeń dyscyplinarnych. Kronika. Inseraty. **„Słowo prawnicze“**, pismo poświęcone zawodowym interesom palestry polskiej przynosi stale rozprawy treści ściśle prawniczej, a nadto artykuły, omawiające sprawy obchodzące ogół

Ważne dla prenumeratorów.

Słynnego powieściopisarza węgierskiego **Jokaia**, czterotomową powieść „Poruszymy z posad ziemię“ (razem przeszło 1000 stron) zniżamy na 2 K 10 h. w oprawie płóciennej 3 K 10 h. Należy zamawiać w Administracyi za przekazem pocztowym dołączając 30 hal. na frankaturę.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. W. Rapacz, Trzebinia: Zagadki będą umieszczone. *Dawny prenumerator, Brzeźnica:* Żądanej fotografii nie posiadamy.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

12

— To samo powiedzieliśmy sobie z Gabryelem — rzekł L'Amorce — tu są ciemne punkty. Albo on skorzystał z nadzwyczajnie szczęśliwych okoliczności, albo też z naszej strony popełniono jakiś błąd.

— Tak, tak — rzekł Paulin Brcquet — może nawet coś gorszego niż błąd!

Gabryel i L'Amorce spojrzeli z niepokojem na swego szefa, ten jednak nie dał żadnych bliższych wyjaśnień, co rozumiał pod temi słowami.

— Musieli być uprzedzeni, że mamy zrobić użytek z Fritz'a, że mamy wogóle zbadać szynkownię luksemburską. Musieli się dowiedzieć nawet, kto przeznaczony był do tej wyprawy. Dlatego też poznano odrazu Hermanna i L'Amorce, dlatego oszukano Fritz'a i mnie samego, no i dlatego wogóle cała ta wyprawa spełzła na niczem.

Paulin Brcquet odrzucał myśl o podejrzewaniu swych ludzi. Był zanadto ich pewny. Sądził, iż zaszedł tu poprostu wypadek jakiejś małej niedyskrecyi, z której przeciwnik z nadzwyczajną zręcznością potrafił skorzystać.

— Zdaje mi się — dodał po chwili — że znajdę rozwiązanie tej zagadki w mieszkaniu Schmitt'a. Muszę się przekonać w jakikolwiek sposób, czy wszystkie ubrania Schmitt'a znajdują się na miejscu.

Spojrzał na zegarek i powstał.

— Za kwadrans sędzia śledczy ma badać mieszkanie Schmitt'a, które opieczętowałem. Muszę być przy tem badaniu.

Kiedy automobil detektywa zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał Schmitt, podszedł Filan, jeden z pomocników Paulin Broquet'a, który miał polecony sobie dozór nad tym domem.

— Jest co nowego? — zapytał detektyw.

— Nic, panie szefie. Nic podejrzanego... Przez cały dzień zbierali się tu gapie, ale policya nie pozwala na to... Przysłuchiwałem się rozmowom, ale nic interesującego nie zauważyłem.

— Mapipe?

— Mapipe zamknięty jest w mieszkaniu, jest tam od wieczora, nie miałem od niego żadnych wiadomości.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Mapipe nie chce zasnąć.

Mapipe na rozkaz Paulin Broquet'a stawił się w mieszkaniu Schmitt'a o szóstej wieczorem, żeby pilnować przez noc pieczęci. Przyniósł ze sobą dzienniki, zamierzając zabić czytaniem część nocy, pozatem miał swą fajkę, która miała mu służyć jako rozrywka i środek przeciw senności.

Ale czas okropnie się dłuży, gdy się nic nie robi, gdy się musi czuwać i czekać. Mapipe przypuszczał, że przy pomocy dzienników i swej nieodłącznej fajki, doczeka się z łatwością poranku. Ale przeczytał dzienniki, wypalił mnóstwo fajek, a do rana było jeszcze daleko. Ziewał raz po razu, spacerując po pokoju zadymionym do niemożliwości. Co chwila patrzył na zegarek.

— Jak się ten czas dłuży — mówił do siebie z rozpaczą.

Nie wiedział, jak zabić czas, nie mając już nic do czytania, gdy nagle zobaczył na stoliku grubą księgę. Był to rocznik jakiegoś pisma sportowego.

— Doskonale — mruknął — mam co czytać, łatwiej mi będzie dosiedzieć do końca.

Mapipe, jak wszyscy pomocnicy Paulin Broquet'a, zajmował się różnemi sportami, lektura więc odpowiadała w zupełności jego upodobaniom. Zasiadł wygodnie przy stole i począł przeglądać księgę sportową, szukając w niej miejsc najbardziej interesujących, opisów match'ów, zawodów, wyścigów.

Jednakże, pomimo interesującej lektury, czuł, że ogarnia go gwałtowna senność.

— To dziwne — mruknął — mam wrażenie, że lada chwila zasnę, siedząc!... Nigdy mi się nic podobnego nie zdarzyło... Czuję straszne zmęczenie.

Walczył z ogarniającą go sennością, walczył bezskutecznie zresztą. Litery skakały mu przed oczyma, wreszcie głowa opadła mu na książkę. Czuł, że lada chwila zaśnie głęboko. Zerwał się i otrząsnął.

— Właściwie niema się czego obawiać — rzekł do siebie. — Nikt tu nie przyjdzie... No tak, ale nie po to mnie tu szef postawił, żebym spał. Trzeba czuwać, do kroćset, niema rady.

Biedny Mapipe cierpiał bardzo.

— Tu brak powietrza — domyślił się wreszcie — niema czem oddychać. Za dużo paliłem. To fajka temu winna, duszno.

Zataczając się, jak pijany, podszedł do okna i otworzył go szeroko.

— A! — rzekł, wciągając w płuca chłodne powietrze — teraz mi lepiej.

Okno pokoju, który był sypialnią Schmitt'a, wychodziło na wąskie podwórko, zamknięte po przeciwnej stronie tylną ścianą innej kamienicy. Mapipe przyjrzał się tej ścianie gołej bez okien, policzył kominy na dachu i znudził się. Czuł się już lepiej, odszedł więc od okna, pozostawiając je przez ostrożność otwartem, i zapalił fajkę. Przeszedł parę razy po pokoju, poczem zasiadł na nowo do rocznika sportowego. Tym razem senność owładnęła go odrazu i tak gwałtownie, że nie zdążył wyjąć fajki z ust. Głowa opadła mu na książkę i zasnął głębokim ciężkim snem.

W kilka minut później w otwartym szeroko oknie ukazał się wysoki, barczysty człowiek. Ubrany był w rodzaj trykotu szaro-niebieskiego koloru, twarz miał zakrytą maską tegoż koloru. Przez otwory wycięte w masce oczy jego rzucały zielone błyski, jak oczy kota. Człowiek ten zeszedł po drabince sznurowej, zawieszonej na górnem piętrze. Zajrzał ostrożnie do pokoju, posłuchał chwilę, poczem przesadził parapet i stanął w pokoju. Wówczas wychylił się przez okno, kiwnął ręką i po chwili zeszło po drabince dwóch innych ludzi, w takich samych trykotach i maskach.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Szklana bomba.

Człowiek, który wszedł pierwszy wyjął, z pod maski, widocznie z zębów, trójgraniasty sztylet i podszedł ostrożnie, bez szelestu do śpiącego. Stanął za nim, dotykając prawie poręczy krzesła i słuchał. Rękę ze sztyletem trzymał podniesioną, gotów uderzyć za najlżejszem poruszeniem śpiącego.

Ale Mapipe chrapał zawzięcie i ani myślał budzić się. Wówczas człowiek w masce dotknął jego ramienia. Mapipe nie poruszył się nawet. Przybysz potrząsnął nim. Mapipe pochylił się jeszcze więcej i zachrapał głośniej.

— Doskonale! — rzekł wówczas człowiek w masce — możemy wziąć się do roboty, niema obawy, żeby nam przeszkodził.

Wszyscy trzej podeszli do szafy z ubraniami, którą opieczętował Paulin Brcquet. Pierwszy z nich obejrzał pieczęcie, poczem rzekł, śmiejąc się:

— Uszanujmy pracę króla detektywów... Zresztą postawił straż przy tych pieczęciach, nie naruszajmy więc ich.

Przy pomocy swych towarzyszy odsunął szafę i otworzył drzwi, znajdujące się w jej tylnej ścianie. Wówczas szybko wyjął z szafy jej zawartość, podał ją towarzyszom, sam zaś podszedł do okna i pociągnął za drabinkę sznurową. Dwaj inni tymczasem zwinęli wyjęte z szafy ubrania i szafę postawili na dawnem miejscu. Po chwili z górnego piętra spuszczono na sznurku koszyk; umieszczono w nim ubranie i koszyk znikł; po kilku minutach ukazał się znowu w oknie.

— Baczność moje dzieci — rzekł pierwszy z zamaskowanych. — Ja sam to zrobię.

Z koszyka, wyłożonego teraz słomą, wyjął rodzaj butelki i z niesłychaną ostrożnością umieścił ją na łóżku.

— Trzeba się z tem cackiem ostrożnie obchodzić, bo możemy wylecieć w powietrze. Jestto bomba najnowszego wynalazku. Butelka ta rozdzielona jest na dwie części szklaną przegródką. Każda z części napełniona jest innym płynem. Przy zbiciu bomby płyny te łącząc się ze sobą przy współdziałaniu powietrza, wytwarzają gaz o niesłychanej sile wybuchowej. Mówiąc to, wyjął z koszyka małą półeczkę drewnianą z podstawką, poczem zwrócił się do swych towarzyszów.

— Pozamykajcie wszystkie drzwi na klucz i zostawcie klucze w zamkach.

Sam wszedł na krzesło i zawiesił nad drzwiami na haczyku podstawkę, a na niej umieścił półeczkę, którą połączył sznurkami z klamkami wszystkich drzwi pokoju. Poczem na półeczce postawił bombę.

— No — rzekł — aparat gotów, Paulin Broquet może wejść. Gdy otworzy którekolwiek z tych drzwi, bomba spadnie, nastąpi wybuch i znakomity detektyw zostanie rozszarpany na kawałki. A że, jak myślę, nie przyjdzie tu sam, lecz ze swymi pomocnikami, z urzędnikami, z szefem bezpieczeństwa, więc za jednym zamachem pozbędziemy się tej całej bandy.

Rzuciwszy jeszcze raz okiem na swe dzieło, dodał:

— Chodźmy, będziemy czekali w bezpiecznem miejscu na rezultaty naszej pracy.

Przechodząc koło śpiącego, uderzył go przyjacielsko po ramieniu i rzekł:

— Niedługo cię zbudzą, może w sposób nieco gwałtowny, nie miej o to pretensyi do nas, mój drogi. Pozdrów odemnie twego szefa!

— Jakto — zapytał jeden z towarzyszów — pan go nie zabija?

— A poco? Wyziewy tej książki wystarczyłyby. A zresztą jest bomba... Po cóż więc mam się trudzić.

Wszyscy trzej po kolei weszli na drabinkę sznurową. Ostatni zamknął za sobą okno, mrucząc:

— Jutro pozbędziemy się raz na zawsze Paulina Broquet'a.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

W obliczu śmierci.

Paulin Brcquet w towarzystwie szefa bezpieczeństwa, sędziego śledczego i kilku swych pomocników wchodził na schody domu, w który mieszkał Schmitt.

— Ponieważ mam nadzieję — mówił — że znajdziemy w tem mieszkaniu bardzo ważne dokumenty, których dotąd nie miałem czasu szukać, więc przedsięwziąłem pewne środki ostrożności. Wiedząc, że wobec przeciwników, z jakimi mamy do czynienia, pieczęcie nie dają żadnej gwarancyi, postawiłem na straży w mieszkaniu jednego z najdzielniejszych mych pomocników, zwanego Mapipe.

— A! — rzekł szef bezpieczeństwa — Ma-

pipe! Doskonale! Możemy być spokojni, że mieszkanie i pieczęcie są pod dobrą opieką.

Stanąwszy przed drzwiami mieszkania, Paulin Brcq et zastukał w umówiony sposób. Ale Mapipe nie odpowiedział.

Wówczas detektyw pociągnął za rączkę dzwonka. I tym razem Mapipe nie dał znaku życia.

— Musiał zasnąć — rzekł szef bezpieczeństwa — znużyło go czuwanie w nocy, to bardzo naturalne.

— Tak — dodał sędzia śledczy, który miał pretensyę do dowcipu. — Kto dobrze czuwa w nocy, powinien smacznie spać w dzień.

Roześmiano się z tego żartu. Paulin Br quet jednak nie śmiał się. Zadzwonił jeszcze raz, z całej siły, ale nikt w mieszkaniu nie odezwał się.

— Panie szefie — rzekł Gabryel — może Mapipe jest w kuchni i nie słyszy dzwonka. Pójdę na kuchenne schody.

— Nie — odparł detektyw — powinien słyszeć dzwonienie.

I nachylając się do ucha Gabryela, dodał głosem, w którym brzmiała wściekłość zmieszana z bólem:

— Powinien słyszeć, jeśli jest jeszcze w stanie słyszeć cokolwiek.

Gabryel zrozumiał.

— Och! panie szefie, to byłoby straszne!

— Musimy otworzyć drzwi — rzekł Paulin Brcquet.

Wiedząc, że Mapipe jest w mieszkaniu, nie wzięto ze sobą ślusarza. Ale Paulin Brcquet potrafił otworzyć każde drzwi. Wyjął z kieszeni stalowy niklowany instrument i włożył go w zamek. Ale nie mógł go otworzyć.

— Klucz tkwi w zamku — rzekł po chwili.

— Potrafi pan jednak otworzyć? — zapytał szef bezpieczeństwa.

— Naturalnie, ale to potrwa dłużej, a nie mamy czasu do stracenia.

Poczem zwrócił się do Gabryela:

— Przynieś mi moje przybory.

Gabryel zbiegł szybko ze schodów.

— Co pan chce uczynić? — zapytał sędzia śledczy.

— Normalne włamanie.

Żeby nie tracić czasu, a może z amatorstwa, Paulin Brcquet dalej operował koło zamku.

— Trzymam klucz — rzekł wreszcie — proszę słuchać, zaraz wypadnie!

Rzeczywiście, w tej chwili dał się słyszeć stuk padającego na podłogę klucza po przeciwnej stronie drzwi.

— Teraz — rzekł detektyw — pozostaje mi tylko otworzyć zamek. Ale to nam nie pomoże, bo drzwi są zamknięte prócz tego na zatrzask i łańcuch bezpieczeństwa.

— Nie może pan ich wyważyć?

— Mogę i zaraz to uczynię.

Wziął z rąk Gabryela, który właśnie nadbiegł torebkę skórzaną, otworzył ją i wyjął narzędzia. Wybrał z pomiędzy nich rodzaj dłuta, dźwignię i kilka klinów z drzewa.

Założył dłuto między drzwi i podłogę, podważył a Gabryel wsunął i wbił jeden z klinów. Przy trzecim klinie drzwi wyszły z zawiasów. Przejście było wolne. Paulin Brcquet wszedł pospiesznie. Chciał jak najprędzej dowiedzieć się, co się dzieje z jego pomocnikiem. Obawiał się, że zastanie tylko trupa.

W przedpokoju było ciemno. Detektyw odkręcił światło i podszedł do drzwi następnych.

— Żeby te przynajmniej nie były zamknięte!

Położył rękę na klamce i pocisnął.

— Zamknięte — rzekł — i klucz tkwi w zamku!

— Będzie je pan otwierał w taki sam sposób, jak tamte? — zapytał szef bezpieczeństwa.

— Szkoda czasu, będziemy działali pospieszniej.

I nacisnął drzwi ramieniem, chcąc je wysadzić. Szef bezpieczeństwa powstrzymał go nagle.

— Poczekaj pan!

— Dlaczego?

— Tam za temi drzwiami może czekać pana śmierć.

— Jakto?

— Ludzie, z którymi mamy do czynienia, ci bandyci nie liczą się z nikim i z niczem.

— Wiem o tem, to też chcę jak najprędzej dowiedzieć się, co uczynili z Mapipe.

— Poczekaj pan jednak! — nastawał pan Rhamard — trzeba znaleźć jakiś sposób...

— Niema innego sposobu.

— Poszukajmy go. Jestem pewny, że w mieszkaniu jest jakaś zasadzka!

— To bardzo możliwe.

— Bandyci wiedzą, że pan ich ściga.

— Rzeczywiście, wiedzą o tem.

— Być może, że zabili pańskiego ajenta i musieli się w takim razie przygotować na przyjęcie swego najgroźniejszego wroga, to jest pana. Mogli ustawić, tam za drzwiami maszynę piekielną, bombę, nie wiem, ale przeczuwam niebezpieczeństwo.

Paulin Brcquet uśmiechnął się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. Hayman, Warszawa.

Tam do *pierwszego-drugiego!*
Bo *drugi-drugi* do h dz,
Ach *druga-pierwsza* jest moja dola,
Bo *trzecia z czwartą* wcale się nie rodzi...
Jeżeli mój Bóg mój tego nie poskąpi,
Wszystko napewno nastąpi!

Przekładanka.

Ułożył W. L. z Krakowa.

W każdym rzędzie przestawić w ten sposób litery, aby utworzyły dwa wyrazy o podanem znaczeniu. Litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko autora dramatycznego i tytuł jego najnowszego utworu.

a	e	j	l	n	ó	r	s	t	w
a	d	g	g	i	ł	o	ó	t	y
a	c	h	i	k	k	n	o	o	u
a	b	k	ł	o	o	ó	r	s	z
a	c	e	e	ę	i	l	p	r	z
a	b	c	d	e	h	l	o	r	w
a	c	h	i	n	n	o	r	w	z
a	a	a	i	i	k	l	m	r	s
a	a	ą	c	g	j	k	n	p	y
a	g	n	p	s	t	u	u	y	z

Znaczenie wyrazów: 1 Usposobianie, dzikie zwierzę. 2 Inaczej gruplik, roślina 3 Część mieszkania, część ciała 4 Dzieło sztuki, ptak drapieżny. 5 Jarzyna, zwierzę swojskie. 6 Pływ, pokarm 7 Nastrój, przyprawa roślinna 8 Narybek, wyrób masarski 9 Włóczęga, owad 10. Czas zabaw, zwierzę egzotyczne

Łamigłówka literacka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z przytoczonego poniżej czterowiersza Mickiewicza, idąc trzy razy w kierunku z góry na dół, wyjąć po jednej głosce, tak, abyśmy otrzymali tytuł jednego z utworów tego poety

„Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową.
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową“

Łamigłówka adresowa.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z liter, zawartych w niedokładnych adresach niżej przytoczonych osób, ułożyć nazwę miasta i kraju który zamieszkują.

HRABINA ALICE P. SONZA

PANI OLGA TRYCOLA

MARYAN C. RAFIA'YS

Zagadka teatralna.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z podanych wyrazów, idąc dwa razy z górv na dół, wyjąć po jednej głosce, tak, aby utworzyły dwie wybitne siły operowe.

Balkon
Kulisya
Rospicvent
Dekoracya
Sufler
Loże
Wawrzyn
Bas
Akcya
Afisz.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Jan S ymsiek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: O łotr! Owoc ma guz.

Zagadka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Jeśli weźmiesz wprost, to go z mytów znamy,
A jeśli wspak przeczytasz, w geografii mamy.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* Maryawita.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.